SILVA-RERUM.

STAROPOLSKIE POWIEŚCI

K. WŁ. WOJCICKIEGO.

Tom II.

WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

—

1861.

SILVA-RERUM.

SILVA-RERUM.

SILVA-RERUM.

STAROPOLSKIE POWIEŚCI

K. Wł. Wojcickiego.

Tom II.

„Bóg to sowicie nagradza,
Gdy kto swéj cnoty nie zdradza:
Bo potém w wielkiéj zacności
Użył żywota radości."

Mikołaj Rej. (Żywot Jozepha 1545 r.)

WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1861.

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno 31 Października, 1860 roku.

Cenzor *Paweł Kukolnik.*

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach
98545

XI.

Słońce powoli się obniżało ku zachodowi, gdy niespodzianie zadudniał most zwodzony, i na podwórzu dworskim, ukazała się bryczka w parę małych, ale rączych zaprzężona koników. Kurpik młody powoził, a siedział w niéj pan Franciszek Zaleski, wnuk owego Tomasza, o którym tyle razy wspominał pan stolnik.—Zaleski ujrzawszy pod lipą siedzących, rzeźwo zeskoczył z bryczki, i szybkim krokiem posunął się ku lipie.

— A witajże nam witaj mości Franciszku, zawołał radośnie stolnik, wyciągając doń ręce, a toż-eś nam sprawił miłą niespodziankę. Panie Boże zapłać za łaskawą pamięć panulenku!

Zaleski, zdjął kapelusz słomiany, i prawą ręką ujął witającego gospodarza za kolano, gdy ten oburącz ująwszy jego głowę, przycisnął do piersi.

Poczem pozdrowił serdecznie rotmistrza, pokłonił Hannie z uśmiechem, zatrzymując spójrzenie na młodym gościu Zagajborskiego dworu.

— Pele tego, mości stolniku dobrodzieju, jakkolwiek nie mam przyjemności znania tego pana, ale bogdajbym się nie pomylił, że to z familii Nekandów..

— Zgadłeś waści panie Franciszku, odrzekł stolnik: pan Tadeusz Nekanda, syn pana Adama, pułkownika Mirowskich, co mężnie potém zginął przy szturmie Saragossy!

Zaleski wyciągnął obie ręce do młodzieńca.

— A chodźże pele tego Tadeuszku w moje objęcia! toć że to ja byłem serdecznym przyjacielem waszeci rodzica, niechaj mu pele tego, tam światłość wiekuista przyświeca, a z waszeciną matką, gdy była śliczną dzieweczką, pele tego, nieraz się wywijało na kuligu ochoczo.

I to mówiąc starzec rozrzewniony zaczął ściskać Tadeusza.

— Ale mateczka żyje, zacna to, ba niemal święta niewiasta! Poświęciła się dla waszeci jak prawdziwa matka. Kiedy śp. Adam zginął, byłać to jeszcze młoda i śliczności niewiasta. Oj! pele tego, miała wielu konkurentów, ale odmówiła wszystkim. Gdym za jednym, *bene natus et possesionatus*, pisał do niéj, i prosił, aby pele tego, łaskawym przyjęła go oczkiem, taki mi pele tego, *pater no-*

ster odpisała, że ze trzy dni pele tego, chodziłem zwarzony. Ale mi waszeć mości Tadeuszu, i z miny i z czupryny zupełnie przypominasz dostojnego swego rodzica. Miłyć Boże! toż to my ze śp. Adasiem, ba i ot z rotmistrzem Bartoszkiem, pele tego, razem chodziwali, razem chulali pele tego mości skarbniku, a réj wodził zawsze pan Adam, bo to był śliczny chłopiec, nieprzymierzając jak waszeć mości Tadeuszku, a z nim Bartoszek szedł o prym w zapasy: boć i to był galant chłopiec, pele tego. Rotmistrz z uśmiechem zatarł czupryny; a Hanna na pochwały Tadeusza, spójrzała z pod oczka, a spotkawszy jego wejrzenie, z potężnym raczkiem, odwróciła się nagle.

— No panulenku, rozgość się waszeć panie Franciszku, już my waszeci tak rychło niepuściewa od siebie.—

— Pele tego, submituję....

— Jak mi waszeć panuleńku będziesz majaczył, tak powiem Bartoszkowi, to wyda rozkaz staremu Kubie do podniesienia mostu, i waszeć panuleńku zabierzemy przemocą w jassyr!

— Mości stolniku submituję... pele tego.

— Panuleńku! mości rotmistrzu, zawołał gro-

źnie pan stolnik, Kuba most niech podniesie, bramę zamknie, Kurpika panuleńku co powoził do karceresu do izby czeladnéj, a bryczkę pana Franciszka pod trzy zamki... panuleńku.

Pan porucznik Zaleski (bo tak go tytułowano w okolicy) gdyż ten stopień posiadał w pułku Mirowskich, załamał ręce jakby w rozpaczy, i z żałobliwą miną wykrzyknął....

— Pele tego, mości stolniku dobrodzieju, pele tego, panie rotmistrzu dobrodzieju! pele tego, mości Nekando, i wy dostojna mościa Hanno dobrodziko! bądźcie świadkami, że protestuję przeciw temu wyrokowi, w imieniu swoim, mojéj Jagusi nieobecnéj i dziewięciorga pele tego, niemowląt a dziatwy naszéj!

A przytem ułożył oblicze tak żartobliwe, że wszyscy w głos się rozśmieli. Gdy Hanna na znak dany przez pradziadka, wybiegła szybko z pod lipy: stolnik zawołał radośnie.

— Protestacya panuleńku nieważna, nikt jéj nie akceptuje, wszak prawda mości panowie bracia?

— Prawda! wykrzyknął p. rotmistrz ściskając Zaleskiego.

— Prawda! odrzekł z pochyleniem głowy Ne-

kanda, wiodąc wzrokiem tęschnym za znikającą w sieni dworu Hanną.

— Teraz waść, panulenku mości poruczniku, wedle artykułów hetmańskich, jako w jassyrze będący, masz być rozbrojon panulenku: I zaraz waszeć weźmiemy na pytki, abyśmy powzięli języka o różnych różnościach.

Zaleski widząc jak za Hanną na tacy, mały chłopak niesie gęsiorek starego miodu z czarkami, pogładziwszy się po czuprynie, i poprawiwszy na żupanie pasa, odrzekł z ukłonem.

— Widzę pele tego, że tu się sam język rozwiąże, na widok naszéj puszczy nektaru, co wonia jak ambrozya! Cóż ma mości stolniku, biedny niewolnik robić, z pokorą submituje czołem, i składa ostatnią broń pele tego, dobrowolnie.

To wyrzekłszy laskę swoją z toporkiem, złożył obok siebie i usiadł na dębowéj ławie.

Hanna na dany znak przez pradziadka, nalała cztery czarki małe miodem, cofnęła się w cień największy lipy, i zajęła się robotką ręczną; gdy stolnik skosztowawszy miodu przemówił:

— Cóż tam słychać na świecie panie Franciszku? Ja już od wielu lat z granic naszych puszczo-

wych niewychyliłem głowy... Słyszałem, że nowy dziedzic dźwiga z ruiny *Czerwony-Zamek*. Trudnać to sprawa panulenku, trudna!

— Gdzie tam (odrzekł Zaleski) dźwigać gmaszysko takie z upadku, prędzejby pele tego, i łatwiejby pobudować miasto, niż podnieść na nowo *Czerwony-Zamek!*

— Pamiętam go kiedy stał stały i krzepki, choć w murach chował nie jedną kulę armatnią, mówił powoli stolnik, wznosząc w górę oczy, jako miał zwyczaj, gdy wspominał dawne czasy. Nie jeden szturm wytrzymał, i nie jedną burzę. Panulenku! wieleż to razy z śp. moim rodzicem konno i zbrojno, wjeżdżaliśmy do Czerwonego Zamku w gronie licznem braci szlachty, czy to na imieniny śp. wojewody, czy na szczególne zaprosiny, zwłaszcza przed sejmikami. Osiem baszt wielkich otaczało go z grubemi murami w około. Od południa jedna brama wjazdowa, przedzielona od pola przepaścią, którą tylko za pomocą spuszczanego mostu, przebyć można było, wiodła do wnętrza zamku. Fossę głęboko przepełniała woda ze trzech strug i zdrojowisk, które i zimą nawet w czasie tęgich mrozów nie zamarzały nigdy. Kilka palów z ogrom-

nych dębów, służyło temu mostowi za podporę. Wieża zbudowana krzepko a z tak grubego muru, że koniem mogłeś na każdéj ścianie obrócić, z krętym wjazdem, umacniała most zwodzony. Wysokie wały ziemne nad fossą zasłaniały mury wewnętrzne, i groźniejszą nadawały postać samemu zamkowi. Na nich stało za méj pamięci dwadzieścia armat, i dwie długie szwedzkie śmigownice, które ojciec wojewody, zdobył jeszcze na Karolu Gustawie. A co to za wspaniałe komnaty w samym zamku, jakie sale! Pomnę cztery tak wielkie, że panulenku, pięćset szlachty jak weszło z pokłonem do wojewody, to jeszcze zostało miejsca na dwa razy tyle. Z komnaty jadalnéj, zaraz ze drzwi był taras obszerny, a za nim Narew nasza śliczna, niebieska jak nasze niebo panulenku, spokojnie płynęła, a rybitwy, kuliki i czajki, krzykiem swoim bawiły gości. Smiało one nadlatywały, bo nikomu nie wolno było ich strzelać i płoszyć.

Co to za pańskie bywało przyjęcie, hojne a poważne i bez zbytku. Niebrakło jadła i napitku, a rozumną rozmową, człek panulenku napawał duszę, i rozgrzewał serce na usługę Rzeczypospolitéj.

Bo tam rada była zawsze zdrowa, i na celu miała tylko dobro ojczyzny!

— A teraz mości stolniku (smutno przemówił Zaleski) tylko gruzy i zniszczenie! W owych salach rumowiska, gnieżdżą się tam sowy i kwilą zagładę: a pod wieczór wylatują stada nietoperzy.

I jać Czerwony Zamek pamiętam cały, i ostatniego wojewodę, a gdym łońskiego roku przejeżdżał i wszedł w te gruzy, gorzko zapłakałem, przypomniawszy sobie pele tego.....

I więcéj domówić niemógł rozrzewniony, bo mu łzy zakręciły się w oczach.

— Znałem tam (przemówił po chwili stolnik) Jakuba Dąbrowę, prawą rękę wojewody, zacny to był szlachcic, *et de hajda et de jure* jak to mawiano dawniéj panuleńku.

— Żyje jeszcze, odrzekł Zaleski, chociaż późny wiek przygarbił go, i ciągnie do ziemi.

— Panuleńku! a toż to jeżeli niestarszy odemnie to przynajmniéj w równym wieku!

— Jadąc do Warszawy, wstąpiłem ze śp. rodzicem moim do Czerwonego Zamku. Byłem (mówił Zaleski) młodym chłopakiem, jechałem zaciągnąć się do Mirowskich, a Dąbrowa był już dobrze podży-

ły, i czupryny szpakowatéj. Właśnie kiedyśmy wjechali konno na dziedziniec zamkowy, dzwonek z kaplicy przyogrodowéj dał hasło na mszę poranną. Pierwsze drzwi się otwarły z małego domku, co stał przy wieży wjazdowéj, i wyszedł z nich z różańcem w ręku, wysokiego wzrostu szlachcic. Stanął na środku podwórza i zwrócił oczy na wielkie podwoje zamkowe, jakoby oczekiwał na ich otwarcie i mające wyjść z nich osoby. Ale gdy odgłos dzwonka ucichł, i ostatnie jego echo gdzieś tam pele tego. na wałach zamkowych ucichło, smutnie opuścił głowę na piersi i wolniejszym posuwał się krokiem ku kaplicy.

Był to pan Jakób Dąbrowa, powiernik starego wojewody i marszałek dworu. Od młodych lat przy boku jeszcze wojewodzica schowany, potrafił sobie uczciwością, przywiązaniem, zjednać nie tylko ufność ale i przyjaźń jego. Odtąd zostawszy po zgonie rodzica wojewodą, Dąbrowę mianował marszałkiem swego dworu, i zarazem rządcą obszernych włości, nie miał żadnéj pele tego, tajemnicy, którejby mu niepowierzył.

Zastaliśmy samego wojewodę złożonego ciężką niemocą: zaczął się nieco krzepić w siłach sędzi-

wy starzec, doktorzy obiecywali prędki powrót do zdrowia. W wigilią naszego przybycia już powstał z łoża, i na krześle większe pół dnia przesiedział, a rano gdyśmy przyjechali, miał słuchać mszy świętéj nie w kaplicy staréj w Zamku, ale w większéj przyogrodowéj kaplicy. Dąbrowa też na pierwszy odgłos dzwonka wyszedł i zwrócił oczy na podwoje zamkowe. Zawiedziony w swoich nadziejach, osmutniał, i zbliżał się pele tego, wraz do roztwartych drzwi kaplicy, która zajaśniała światłem świec jarzących, zapalonych przy wielkim ołtarzu. Niedługo zobaczyliśmy, jak ze wszystkich drzwi oficyn zamkowych i domków na podwórzu stojących, zaczęli wychodzić dworzanie, spiesząc na ranne nabożeństwo. Między wszystkiemi przecież górował wzrostem i powagą marszałek Dąbrowa. Głowa zdawała mi się pele tego, za małą do téj herkulesowéj budowy i szerokich ramion: twarz pociągła, nos orli, oczy siwe gęstą brwią okolone, wąs zawiesisty, sumiasty, i podgolona czupryna, na pierwszy rzut oka, dawały prawdziwą staropolskiego szlachcica postać.

Kontusz papuża, z opuszczonemi wylotami: żupan pod nim czarny, pas na dnie pąsowym prze-

rabiany srebrem: spodnie karmazynowe w juchtowe opuszczone buty, z wysokiemi cholewami, i czapka rogatywka, obłożona wązkim kasztankiem, stanowiły jego ubiór. Kiedy zdjął rogatywkę na progu kaplicy, zobaczyłem wielką kresę od szabli, idącą od prawej skroni aż pod wąsy. Cięcie to było pele tego, nie lada, kiedy go pamiątką zachował na swem obliczu przez całe życie; ale nie tylko ta go jedna szrama odznaczała: na podgolonej czuprynie, kilka było brózd głębokich, które widomie nosiły ślady że wyorane były szablą.

Przeżegnawszy się przy wejściu do kaplicy, ukląkł na uboczy w zwykłym swoim miejscu, i w pobożnej się skrusze modlił. Już było po *agnus dei*, gdy jakiś dworzanin zbliżył się do niego, i kilka słów szepnął na ucho. Dąbrowa zerwał się co żywo na nogi i nieczekając końca mszy, szybkim krokiem opuścił kaplicę, podążając do zamku. Na obliczu jego wybijał jakiś niepokój, i głębokie wzruszenie. Co zaszło takiego niewiedzieliśmy, aż dopiero nazajutrz opowiedział wszystko śp. rodzicowi mojemu, bo nas przez dzionek następny jeszcze zatrzymał i razem ruszyliśmy do Warszawy. Otoż jak mu w kaplicy dworzanin powiedział na ucho

że JW. wojewoda woła go do siebie: Dąbrowa szybkim krokiem przebiegł niemal podwórzec, kilka komnat, i stanął w sypialni starego wojewody. Siedział on w wielkim krześle, stał przy nim sławny doktor z Warszawy Gagatkiewicz i trzeźwił z omglałości. Dąbrowa drżący z przerażenia stanął przy krześle, pochwycił opuszczoną rękę z poręczy, i całując, gorącą łzą żalu skropił. Starzec uczuł tę łzę przyjaciela, bo otworzył oczy, zwrócił nań pierwsze spojrzenie, uśmiechnął się łagodnie i dał znak aby pochylił głowę którą do piersi przycisnął i odetchnął swobodniej.

— Niemasz żadnego już niebezpieczeństwa, poszepnął z cicha na ucho Gagatkiewicz Dąbrowie, ja teraz spocznę nieco, a wy panie marszałku pozostańcie tutaj.

I usunął się cicho do przybocznej alkowy. Kiedy zostali sami, wojewoda kazał drzwi zamknąć, a dobywając z zapasa list:— przeczytaj to waszeć panie Jakóbie, ten mnie chłopak do grobu zapędza!

Dąbrowa przysunął się do okna i zaczął czytać uważnie pismo, ale za każdym wierszem, coraz większe wzruszenie okazywało się na jego zblad-

łém obliczu. Nie odrzekł słowa, i drżącą ręką zwrócił list starcowi.

— Cóż mamy teraz począć? Radź, radź wasze mości Jakóbie.

— Panie wojewodo! odrzekł zcicha Dąbrowa: to cośmy zachowywali na ostatni wypadek, dobyć musiemy, bo inaczéj.....

— Cóż inaczéj? zapytał z przerażeniem wojewoda.

— Inaczéj—przemówił ciszéj jeszcze marszałek, czeka panicza hańba i więzienie.

Starzec zakrył twarz rękoma, i po chwili zaszlochał jak dziecie: ale płacz ten ulgę mu przyniósł, bo nie długo otarł oczy i spokojniéj wyrzekł:

— Wiesz waszeć panie Jakóbie gdzie są klucze od skarbca. Idź! idź! zabierz wszystko i wysyłaj co rychléj do Paryża, a ja się może nieco wzmogę i napiszę do marnotrawnego syna.

Dąbrowa otworzył dębową szafę i wyjął z niéj trzy wielkie klucze; miał wychodzić gdy spojrzawszy na wojewodę podbiegł ku niemu przerażony widząc jak zamknął oczy i opuścił głowę na poduszkę. Ale się zaraz uspokoił: sen lekki, dobroczynny, pokrzepiał siły zwątlone starca.

Dąbrowa zostawiwszy wojewodę uśpionego, przez dwie komnaty przeszedł, stanął w małéj alkowie i drzwi starannie za sobą zamknął. Alkowa ta, sklepiona była obok kapliczki, w któréj drzwi roztwarte ukazywały wizerunek na krzyżu Zbawiciela zawieszony wysoko na ścianie, prostéj staréj rzeźby na drzewie. Krzyż ten od kilku wieków, sięgał pierwszéj owéj chwili, kiedy jeden z Gozdawitów zbudował zamek *Czerwony*. Przekonany że nikt nie śledzi jego kroków, dotknął tajemnéj sprężyny w ścianie od kaplicy. Część okucia odskoczyła, i ukazały się małe drzwiczki, które jednym kluczem otworzył. Za tymi drzwi żelazne roztwarły się pod drugim kluczem, i ukazała się komnata nizka, sklepiona, którą jedno tylko okno zakratowane oświecało. Tu w kilkunastu kufrach i na dwóch wielkich stołach spoczywały misy, konwoie, puhary, nalewki, czary złote i srebrne, tu wisiały na drewnianych kołkach bogate rzędy na konie, suto nabijane drogiemi kamieniami. Kosztowne zbroje, misiurki, kolcze, buławy, buzdygany, szable i tarcze, okrywały ściany, na których wisiały drogocenne makaty, i gobeliny. Kufer ogromny napełniały pasy przerabiane zło-

tem i srebrem. Dąbrowa obejrzał wszystko troskliwie, a stanąwszy na środku, usunął kufer, i pod nim znalazłszy nieznaczną zasuwę, nacisnął i ukazujący się zamek ostatnim kluczem otworzył.

Silną ręką uniósł w podłodze szeroki bal dębowy, a po nim, ukazały się schody wiodące do lochu zupełnie ciemnego, bo znizkąd światło się dzienne przedrzeć tu nie mogło. Zimny i stęchły odór uderzył go: wrócił więc do kaplicy, a zapaliwszy jarzęcą świecę u ciągle palącéj się lampki pod krzyżem Zbawiciela, wszedł zwolna do owego lochu. Kiedy rozjaśniło światło ciemnotę do koła, ujrzał znowu wielkie kufry, stojące przy ścianach, mocno okute, z herbami rodu Gozdawitów: ale wszystkie już były puste, trzy tylko ostatnie napełnione były workami złota. Dąbrowa starannie przeliczył, a wiedząc ile potrzeba przesłać za granicę, po drugiem przeliczeniu z rozpaczą załamał ręce. Brakowało jeszcze do okrągłéj summy 50000 złp. Tak stał długo, aż wreszcie jakby szczęśliwą myślą natchniony, przeżegnał się, uśmiechnął się rado, i począł żwawo na górę do skarbcu przenosić worki; poczem loch zamknął, zasunął kufrem i usiadł na nim zmęczony.

Tak! mówił do siebie, i powtarzał do siebie w drodze, tak synu marnotrawny! na rozpustę rozrzuciłeś skarby ojców swoich. Już ich zabrakło! Teraz drogie sprzęty pójdą w ręce lichwiarzy. Nie będziesz już widział złocistego serwisa, który ciebie tak w dziecinnych leciech zachwycał, pójdzie on na to, aby cię uratować z więzienia!

Podumawszy chwilę, zaczął skrzętnie przeliczać misy, talerze, wazy i czary złote, a gdy wszystko ustawił na boku, przeniósł z workami razem do małéj komnaty i starannie, pod stołem okrytym dużym kobiercem, ułożył.

Kilka godzin czynność ta zabrała czasu Dąbrowie: kiedy wracał do wojewody, ten już go niecierpliwie oczekiwał.

— A cóż, cóż mój Kuba, czy nie zabrakło? pytał patrząc mu w oczy z trwogą.

— Nie zabrakłoć jeszcze proszę jegomości! odrzekł z cicha.

— Chwała tobie panie! poszepnął starzec i porwawszy różaniec, zaczął się modlić.

Dąbrowa przeczekał aż skończy pacierze, wtedy przedstawił mu potrzebę że sam musi jechać do Warszawy i ztąd przez bankiera Teppera prześle

dopiero weksle do Paryża. Tym tylko sposobem mógł ukryć przed wojewodą brak gotówki i potrzebę sprzedaży serwisu złotego.

— A czyż to panuleńku, rzekł stolnik, stary Gozdawita, wcześniej nie widział w synu marnotrawcy?

— Prawy to był i szlachetny mąż (mówił Zaleski) wylany całkiem na usługi rzeczypospolitej, ukochany od wszystkich, którzy się do niego zbliżyli i poznali. Liczny orszak dworzan i czeladzi kochał go więcej jak ojca, niż pana, a wdowy i sieroty miały w nim opiekuna i dobroczyńcę. Pomimo przecież téj powszechnéj cześci jaka go i między szlachtą otaczała, na czole wojewody, pele tego, jakiś smutek osiadł od lat wielu, powód jego znał tylko Dąbrowa. Owoż co wpłynęło na młodego wojewodzica.

Wojewoda w podeszłych już latach ożenił się, ale krótko używał pele tego, słodyczy małżeńskiego pożycia. Młoda i ukochana żona po krótkiéj chorobie zmarła, zostawując mu syna. Już nie powtórzył ślubów, oddany wyłącznie wychowaniu jedynaka, który doszedłszy pełnoletności bawił od lat sześciu w Paryżu, gdzie znalazł przyjęcie w naj-

pierwszych domach, polecony listami Stanisława Augusta króla, które mu zasłużony dobrze Rzeczypospolitéj, ojciec wojewoda, wyrobił.

Pan stolnik przypomina sobie, ba a my z Bartoszkiem patrzyliśmy na to, jak dogorywało powoli życie starej Rzeczypospolitéj naszéj. Jakby pełe tego, ogłuszyć chcieli zbliżającą się ostatnią godzinę jéj śmierci, wszystko co tylko wynosiło głowę z korca równości szlacheckiéj, czy rodem czy bogactwy, a co nasze *karmazyny* nazywali *panami*, w jakiejś niepojętéj ślepocie, marnotrawiąc ogromne fortuny przodków swoich, często w rozpuście pełe tego, i nędzy kończyło!

— Tak! tak panuleńku, odezwał się stolnik, smutnie kiwając głową: zepsucie potokiem od góry płynęło! Wszystko wtedy co tylko staropolskie, a szlachetne, uczciwe i zacne, wyśmiano, opluto panuleńku! Szydzono z młodéj szlachty co strój polski szanowała, zerwano z przeszłością, deptano ją ohydnie, nazwano barbarzyństwem! Wyszydzano wiarę przodków, macierzysty język, a kobiety z wielkich pań co to panuleńku niby stały na czele narodowych matron, zapomniały o skromności i wstydzie.

— Pele tego, mości stolniku, smutek też który osiadł na czole starego Gozdawity, wypływał z tego właśnie źródła. Jak mu nie boleć, patrząc jak siostra jego rodzona, córkę własną, niewinną i śliczną, oddała na faworytę pele tego, Stanisławowi Augustowi, i z tego tryumfowała nawet, że potrafiła tego dokazać i zwyciężyć wielki zastęp pań i panien ubiegających się zapamiętale o tak pele tego, dostojny zaszczyt. Wojewoda odtąd zerwał wszelkie stosunki z siostrą, ale bolał z téj hańby rodowéj i plamy starożytnego herbu, jakkolwiek plama ta nie na mieczu, ale na kądzieli osiadła. Kiedy po ukończeniu nauk w konwikcie Konarskiego, syn jego Henryk dla poznania świata bawił w Warszawie, niemógł mu zabronić stosunków z rodzoną siostrą swoją. Wojewodzic znalazł też w jéj domu serdeczne przyjęcie, a jéj córka dawna faworyta Stanisława Augusta, jakkolwiek już nie piastowała pierwszéj godności, wydana za Szambelana Kotoryńskiego, miała jeszcze licznych wielbicieli pele tego, na podszarzane wdzięki, które różem i bielidłem a eleganckim strojem, podtrzymywała zręcznie.

Pan wojewodzic Henryk, używał wesoło mło-

dych dni swoich pele tego i zasobów starego skarbcu antenatów swoich; przeprowadziwszy się do pałacu swéj ciotki kasztelanowéj Czerskiéj, miał najlepszą sposobność poznać ówczesny świat wielki. I zasmakował w nim pele tego, bo schlebiał wszystkim namiętnościom: młody jego umysł uważał go jako konieczny warunek życia a i my z Bartoszkiem tak samo myśleli. W dziecinnych latach opuściwszy dwór ojca, nabrał przekonania że reformy wprowadzające ślepe naśladownictwo cudzoziemszczyzny, są to zbawcze żywioły, a wszystko co podtrzymywało stary obyczaj jest szkodliwem i barbarzyństwem. Niedziwota! że nabierał téj wiary, słysząc to ciągle powtarzanem z ust samego króla i najuczeńszych ludzi, co tron jego otaczali. To mu ciągle wtórzył szambelan Węgierski, wesoły towarzysz wspólnych pohulanek, toż samo Trembecki, biskup Naruszewicz i inni. Patrzył na tę ciżbę zamkową gdzie miał wstęp zawsze otwarty, która przyjmowała pele tego, uśmiechem pogardy każdego z braci szlachty co śmiał ubiór staropolski i język ojczysty szanować. Gawiedź ta cała, żyła z dnia na dzień, aby tylko pele tego, używać, nieożywiona żadną wyższą myślą, żadną pobudką

potrzeby poświęcenia. Zdeptano wiarę, a bez religijnej podpory, niemogli pojąć uczucia, co ogrzewało serca, tych błogosławionych antenatów naszych, co za wiarę i ojczyznę radzi gardłowali. O! mości stolniku! kiedy przypomnę sobie owe smutne czasy, to nieraz gorzko pele tego, zapłaczę. Przez tych pasorzytów zginęła nasza święta Rzeczpospolita, a ta rzesza spodlonych, nie czuła strasznéj burzy, co już wtedy zapowiadała niedalekim grzmotem, że płynie jak złowieszcze posły, czarnemi chmurami. W ich oczach przyciemniła ona tylko, dotąd jasne i pogodne niebo, a tymczasem piorun co chwila miał uderzyć i zniszczyć wszystko do koła. My to przeczuwali z Bartoszkiem, a nieraz pod zamkiem Warszawskim stojąc, patrząc w okna oświecone blaskiem świec jarzęcych, słysząc brzmienie wesołej muzyki i ochoczych wiwatów, przepowiadaliśmy złę dolę. I na nieszczęście patrzyliśmy na nią zblizka, i doznali jéj ciężko.

Tu Zaleski opuścił głowę na piersi i chwilę w smutnéj zadumie zostawał, zanim go ocucił stolnik.

— No panulenku panie Franciszku, pokosztuj no naszego kurpiowskiego miodku, i dalej nam opowiedz.

Zaleski posłuszny woli starca, popił ze szklanki, i jakby orzeźwiony na nowo mówił.

— Wojewoda napróżno powoływał syna do swego zamku, długo się pan Henryk ociągał: w ostatku choć przybył na dni kilka, znudzony życiem cichym i jednostajnym w *czerwonym-zamku*, wracał do stolicy na dwór pełen swobody, uciech pełe tego, i zabawy. Pobyt jego i mieszkanie jakie sobie obrał w pałacu ciotki kasztelanowéj, zbliżyły więcéj wojewodę samego do niéj. Po wielu latach rozłąki, ośmieliła się już teraz odwiedzić brata w zamku, w towarzystwie Henryka. Starzec przyjął ją wspaniale i wystawnie: sam młody wojewodzic zadziwił się nad przepychem jaki ujrzał w staropolskich komnatach rodzinnego zamku. Tyle w tym przyjęciu okazałym było powagi i godności, takie bogactwo w przybraniu stołu, komnat i usłudze, że pierwszy raz pele tego, zaczął się wahać, czy można te obyczaje staropolskie nazywać wyrazem «*barbarzyństwo*» tak codziennie używanym na zamku Warszawskim; i tę myśl swoją powiedział uradowanemu wielce Dąbrowie. Ale toż powaga w życiu, surowość obyczajów, niemiały dlań mimo to żadnego powabu: nie czuł się tu tak swo-

bodnym, bo niemiał nic do zabawy pele tego, na czym nie zbywało w Warszawie. A w murach stolicy cieszył go i rozrywał gwar miejski. codzienne pele tego pohulanki dodawały wesołości, a piękne panie najpierwszych domów, z uśmiechem na liczku, chętnie przyjmowały hołdy młodego wojewodzica i uniesienia serca, hojnie wzajemnością umiały odpłacać.

Stolnik spójrzał na Bartosza co się w tym miejscu opowieści Zaleskiego uśmiechnął, potarł czuprynę i siwego wąsa z dumą pokręcił. Starzec pokręcił głową i wyrzekł z cicha:

— W to mu graj panulenku, stary furman choć na miejscu siedzi, rad słyszy jak z bicza trzaskają!

Zaleski spójrzał na Bartosza, rozjaśniło się mu oblicze, snać także miłym lat młodych wspomnieniem, i po chwili dalej ciągnął swoje opowiadanie.

— Stary wojewoda, po kilkodniowym pobycie siostry i odjezdzie do Warszawy wraz z synem, w długą wpadł zadumę, a po naradzie z Dąbrową, napisał list do niego i wysłał go przez dworzanina swego. W nim polecał mu, że gdy już poznał nieco świat i ludzi, potrzeba, żeby dawnym

obyczajem, zwiedził obce kraje, i z téj wędrówki mógł przynieść jaką korzyść dla własnéj ojczyzny.

Wojowodzic, który już trochę przesycać się zaczął życiem Warszawy, skwapliwie pele tego pochwycił podaną sobie sposobność aby poznać Paryż i na nowo odżyć.

Niedługo więc bawiąc opatrzony hojnie puścił się w prost do stolicy Francyi, gdzie od lat kilku przebywał.

Wojewoda rok rocznie posyłał znaczne summy na potrzeby syna, ale rozrzutność jego, granic nie miała. Szły krocie, wystarczyć przecie pele tego niemogły. Dąbrowa wzdychał ciężko, nareszcie, w wieczór zimowy, gdy starzec siedząc zadumany przy marmurowym kominie, opuścił smutnie głowę na piersi, i w długiem milczeniu zostawał;

— Czas by, mnie się zdaje, przywołać naszego panicza do rodzinnego gniazdka. Jegomość (bo tak zwał wojewodę gdy byli sami) często zapada, ot! byłaby wyręka, a panicz nauczyłby się i starego obyczaju, jak to się u nas żyje, bo mu to wszystko wywietrzało z głowy, to w Warszawie na dworze królewskim, to teraz już przez sześć lat w Paryżu.

Wojewoda spójrzał na niego uważnie, a smutnie kiwając głową odrzekł.

— Oj! czas mój Kuba czas, bo jużci przeputał pół większe fortuny, a czy się tyle nauczy, żeby później dorobił, to nie wiem.

— Proszę jegomości, fortunę można naprawić, ale zdrowia i serca nie. Jak wróci niech się i żeni, znajdzie łatwo, familjantkę i posażną to się to zesztukuje jakoś.

Starzec uśmiechnął się radośnie na samą myśl, że doczeka chwili tak gorąco upragnionej,— żeby jeszcze pokołysał wnuki swoje na których by mógł przelać swietne imię Gozdawitów i herb rodzinny

— Dobrze radzicie, trzeba pisać, zaraz dzisiaj list wyprawisz.

W ciągu miesięca odpisał wojewodzic: godził się na opuszczenie Paryża, ale prosił o pieniądze na drogę i zapłacenia długów honorowych, posłano mu żądaną summę. Niedługo wszakże otrzymał wojewoda list, który go tak wzruszył, że go dawał do czytania Dąbrowie. Było to pismo od bankiera na którego ręce przesyłano pieniądze: ten liczebnie wyliczywszy długi młodego utracyjusza wynoszące przeszło 600.000 ostrzegał, że je-

żeli w ciągu miesiąca summa ta niebędzie zapłacona, wojewodzica czeka więzienie. W końcu listu, były te tylko ręką syna marnotrawnego pele tego, dopisane wyrazy: «Ratuj najdroższy ojcze, albo życie sobie odbiorę.»

Summa tak wielka wyczerpywała do reszty zamożny dawniéj skarbiec wojewody, który go przez lat wiele pracą, dobrym rządem, i oszczędnością pomnażał; pierwszy raz przyszło na myśl starca wyobrażenie niedostatku. To mu powiększyło chorobę, zaniemógł, i wiele przecierpiał.

—W Warszawie spotkaliśmy się z Dąbrową: weseléj pele tego, wyglądał jakoś, a memu rodzicowi powiedział na ucho, że wszystko jak najlepiéj skończył, pieniądze posłał, i serwisa złotego nie sprzedał, bo Teper te 50000 zastąpił, i czekać będzie po opłacie procentu, tyle lat ile zechcemy. Zaprosił mego rodzica, aby z powrotem do domu wstąpił do *Czerwonego-zamku*, co mu musiał uroczyście przyrzec.

—Opowiadał mi potem rodzic, co tam było poźniéj. Jak zajechał tylko do oficyny w któréj mieszkał Dąbrowa, tak go marszałek uściskał serdecznie, aż się pele tego, popłakali obaj by bobry.

BIBLIOTEKA GŁÓWNA Kielce

Zatrzymał go więcéj kwartału, ani puścić niechciał.

— Musisz Jasiu, waszeć pozostać z nami, młody wojewodzic przybędzie wkrótce trzeba żebyś to wiedział. Nasz jegomość chce suto wystąpić aby jakoś się oczom ludzkim pele tego pokazać wspaniale. Dużo gości nasz zamek nawiedzi: od dwóch niedziel w naszéj puszczy polują, i grubego zwierza mamy dostatek w lodowniach naszych. Niepuszczę cię mój Jasieńku, zostaniesz waszeć jeżeli mię kochasz!

Rodzic mój musiał tedy zostać, i nieżałował tego. W ciągu miesiąca przybył wojewodzic do Warszawy spieszył do ojca, do Czerwonego zamku, zatęskniony już nawet, gdy zastał list wojewody, polecający mu, aby wypoczął po trudach podróży i przyjechał na dzień oznaczony. Tym czasem pospraszano gości i przygotowanie świetne ukończono: wojewoda, zdrów i krzepki, sam wydawał rozporządzenia, i ciągle radził z Dąbrową. Wysłano dworzan i służbę, oraz pojazdy dla wojewodzica, i tak rozliczono drogę, że oznaczonéj godziny chybić niemógł, bo dworzanie mieli najsurowszy rozkaz, stanąć w terminie. Od rana z całéj okolicy o mil kilka, ba i kilkanaście zjechało sąsiedztwo,

pełno było pojazdów i kolas: najliczniej wystąpiła szlachta nasza zagonowa na podjezdkach, co to z przeproszeniem pana stolnika, ma taką fortunę, wedle starej przypowieści: »*że jak pies usiądzie na dziedzictwie szlachcica, to ogon za granicą trzyma.*«

— Ba! ba! panuleńku, odrzekł stolnik, a zapomniałeś waszeć Franusiu odpowiedzi szlachty naszej: «*że niedługo nie szeroko, ale głęboko i wysoko*» taka fortuna rozszerza swoje miedze, ale popij nieco panuleńku, i praw daléj.

— Owoż takiéj szlachty, mój rodzic naliczył do 600 szabel: bo każdy pele tego, był konno i zbrojno. Aż się dusza radowała jak było spójrzeć na ten tłum gości.

—Na milę na przeciw wojewodzica, konno goście wyjechali, i spotkawszy po okrzyku radosnym otoczyli go wieńcem. Gęsta kurzawa dała znać że się orszak zbliża. Wszyscy dworzanie stanęli przy bramie, na któréj sześciu trębaczy, grzmiało stary marsz tryumfalny. Kiedy już wjechał w granicę zamkowe, jak utną z dział pele tego, aż ziemia zadrżała. Rodzic mój wsiadłszy na arabczyka, na pół mili spotkał gościa: ale aż się przestraszył jak spójrzał

na niego. Zdało mu się że trupa wiozą, tak był wychudły, blady, zmęczony, powitał go z uśmiechem smutnym i skinął ręką. Znać było mimo to wielkie w nim wzruszenie, bo nieraz chustkę przykładał do oczu i łzy ocierał. Wojewoda, stał przy wielkich podwojach otoczony dostojnymi gośćmi: oblicze jego jaśniało radością i dumą gdy ujrzał zamek swój tak przeludniony. Zaledwie wojewodzic przybył do bramy, wysiadł z pojazdu, i w kornéj postaci, przeszedł podwórze, a zbliżywszy się do ojca, padł mu plackiem do nóg, i wybuchnął głośnym płaczem. Wojewoda, dał folgę długo tamowanym łzom radości, podniosł pele tego, marnotrawnego syna, przycisnął do serca i przedstawił zebranym swego jedynaka.

Rodzic mój uczuł wtedy uścisk silny ręki. Stał obok niego Dąbrowa wzruszony wielce, ze łzami w oczach pochwycił go za rękę i szepnął z cicha:

— Spojrzyj Jasiu na ojca i syna. A zaprawdę dziwnie odbijały te dwie postacie. Starzec czerstwy i krzepki wspaniale wyglądał w bogatym polskim stroju: syn z francuzka przebrany, z napudrowaną i wyfryzowaną głową, we fraczku axamitnym haftowanym, w trzewikach, pończochach i ze szpadą z por-

celanową rękojeścią. Ojciec przedstawiał starą naszą Rzeczpospolitą, syn zfrancuziałe nowe plemię, pele tego, do niczego. Trudno opisać przepychu i wspaniałości przyjęcia, przez dni kilka. Na obiadach błyszczał serwis ów złoty, i z dumą go pokazywał rodzicowi memu Dąbrowa. Trwało hojne i gościnne przyjęcie przez trzy dni całe: i wojewoda odżył, odmłodniał, a przy nim jego marszałek.

Teraz raczysz, zwrócić pilną uwagę a baczne uszko, mościa Hanno dobrodziejko, bo zaczynam opowieść wedle sercowych afektów.

To wyrzekłszy Zaleski, popił miodu, i skłonił się młodéj dziewicy, która upiekła raka biorąc jego przemowę, za przymówkę że z Tadeuszem na uboczu stali i z cicha czasem a więcéj oczyma, wiedli tajemną rozmowę. Zaleski nieuważając jéj pomieszania, daléj prawił:

— Pomiędzy zaproszonymi gośćmi była pani Chorążyna z Jaworowa, matrona poważna wiekiem, a szanowana w całéj okolicy. Wdowa od lat dziesięciu, któréj mąż nieboszczyk był wielce adorowan od pana wojewody. Mówiono, że mu raz salwował życie w gorącéj potrzebie.

To też kiedy dano znać że do Czerwonego przy-

bywa zamku, wojewoda, wybiegł aż na most zwodzony, i ze szczególną rewerencyją przyjął w bramie wjazdowéj. Miała ona córkę jedynaczkę z sobą: liczyła ośmnasty roczek: ale stworzeńko pele tego prześliczne. Wzrost smukły, oko ciemno niebieskie, usteczka różanne pele tego!

— Stolnik zaczął się uśmiechać, rotmistrz w głos się zaśmiał, aż przerwał swoją opowieść Zaleski. Z początku chwilę się zachmurzył, westchnął, ale zaraz rozjaśnił oblicze.

— Pan stolnik dobrodziéj śmieje się ze swego sługi, ba i Bartoszek chichocze: nie dziwota, słuchając starego jak się unosi nad pięknością panny Klary. Była to pierwsza niewiasta w młodych moich leciech co pele tego, mój podziw obudziła. Nie powiem żebym się w niéj rozmiłował, ale tak się jakoś chciało patrzeć w jéj cudne oblicze dzień i noc, a napatrzeć się niemogłeś, pele tego. Cóś tak miała uroczego tak ciągnącego oczy człowieka, żeś chodził potem zadumany, a ona ci w myśli; zasnąłeś, toś o niéj marzył, a zawsze jak mi się przyśniła, to miała skrzydła anioła i podlatała z niemi by ptaszek! Mój Boże! śiwizna przypruszyła czuprynę, a nam się to serce zestarzeć niechce; czemu

wspomnienia młodości nie zatrze człowiek w pamięci, byłoby może lżej pele tego, na sercu!

— O! nie mów tego waszeć Franusiu, odrzekł poważnie stolnik, niemów panuleńku! A cożby wart był człowiek jakby mu się zestarzało serce i żadnych nieprzechował wspomnień? Zkąd panuleńku dobyłbyś łez radośnych i smutnych i bolejących, gdy wesele lub strapienie Bóg ześle? Niedziwię się waszeci panuleńku, że tak z ogniem Chorążankę opisujesz, bo i ja jak wspomnę moję niewiastę kochaną to płaczę, i Bartoszek jak wspomni z *San-Domingo* jakąś Elżbietkę a potem żonę swoją, to także jak bóbr płacze...

Rotmistrz na to wspomnienie, zerwał się z ławy, zbladł mocno, chciał cóś mówić, ale usta mu zadrżały: zamilknął i wybiegł z pod lipy, stolnik pokiwał smutnie głową i sparłszy ją na ręku w głębokiéj utonął zadumie: Hanna z podziwieniem spójrzała na Tadeusza, jakby pytała o wyjaśnienie wzruszenia dziadunia? Zaleski osowiał, wziął lampkę miodu ale nie poniósł jéj do ust, chwilę popatrzył w nią i postawił na stole.

Stolnik pierwszy się ocknął i jakby zdiwiony nieobecnością rotmistrza:

— A gdzież to Bartoszek? zemknął prałat, to tak zawsze jak mu przypomnę czy żonę, czy tę Elżbietkę!

— Cóż to za jedna niewiasta?

— To panuleńku, jak mu przyjdzie humor to sam waści Franusiu opowie: a teraz mówże daléj, bo mię to żywie obchodzi. Znałem ci cały ród naszego wojewody i bywałem w Czerwonym zamku.

— Niewiele już co mogę mówić o starym wojewodzie. Pan Bóg zesłał mu na ostatnią godzinę życia radość niespodziewaną, bo syna ożenił z piękną Klarą, sute pele tego, wyprawił wesele, a w rok kołysał ślicznę chłopię wnuka. Niedługo się nim cieszył, bo następnéj zimy zaniemógł, i pomimo pomocy Gagatkiewicza, zbliżył się do kresu ostatniego każdemu człowiekowi przeznaczonego. Mój rodzic bawił wtedy u Dąbrowy parę dni, odpoczywając z podróży dalekiéj, kiedy nad wieczorem wszedł on do swéj izdebki i zgłośnym płaczem upadł na kolana przed obrazem Matki Boskiéj Częstochowskiéj. Uspokojony nieco, wraz z rodzicem poszli do komnaty zamkowéj, gdzie na łożu spoczywał blady i schudzony stary wojewoda. Doktór Gagatkiewicz stał z zegarkiem w ręku jakby liczył każdą sekundę: w nogach klęczała

pani Klara, wojewodzica niebyło, bo on poleciał do Warszawy w umizgi, pele tego, do jakiejś kasztelanowéj, co nań zerkała oczyma czarnemi.

Stary pan już się wyspowiadał, odebrał ostatnie namaszczenie olejem świętym. Ksiądz kapelan siedział smutny przy węzgłowiu. Cichość była grobowa w komnacie. Nagle wojewoda, uniosł nieco głowy, powlekł zamglonemi oczyma, poznał Dąbrowę, skinął; a gdy wierny sługa łkając zcicha, ukląkł przy łożu, starzec położył rękę na jego głowie dał znak aby się zbliżył więcéj i szepnął.

— Jakóbie przysięgnij mi że będziesz się opiekował synową moją i wnukiem!

Dąbrowa wzniósł swą prawą rękę w górę, i załzawionym głosem wyrzekł: *przysięgam!*

— Bo ja mój Kubusiu, w krótce stanę przed sądem Boskim, ztamtąd cię będę błogosławić....

Westchnął głęboko, zamknął oczy i usnął, ale snem wiecznym.

Mój śp. rodzic zatrzymał się na pogrzeb wspaniały, na który zjechał przecie wojewodzic; pochowano zwłoki w kaplicy zamkowéj obok przodków zmarłych. Wiele lat upłynęło potém, ale teraz zaczyna się pele tego, tragedija niespodziewana mości

stolniku, i dla tego zaczekamy na Bartoszka, a tymczasem odwilżę nieco gardło, naszym puszczowym nektarem.

I wychylił czarę miodu.

Niedługo Bartosz nadszedł: słońce już zaszło, stolnik powstał aby przejść do dworu, bo zbliżała się godzina kollacyi. Jakoż nie długo, dzwonek dał znak wieczerzy, i wszyscy domowi wraz z gościem zasiedli do stołu.

XII.

—No panuleńku panie Franciszku, rzekł stolnik, usiadłszy w zwykłym miejscu swoim, na kanapie skórzanéj w pobocznéj komnacie,—siadaj obok mnie i dokończ swojéj historyi *o Czerwonym Zamku*: boć mię to żywie obchodzi, a i Bartoszek słucha uważnie, i moja Hanulka, ba i pan Tadeusz, jak mu habrowe oczka Hanulki nieprzeszkodzą. Nekanda wzruszony spojrzał z podziwieniem na starca, Hanna skraśniała jak wiśnia: Stolnik niby niezważając na ich pomieszanie, mówił daléj.

— No mości Franciszku słuchamy radzi.

— Wiele lat jak mówiłem pele tego, upłynęło. Mój rodzic umarł, ja po pogrzebie wracałem do Warszawy i po drodze wstąpiłem do *Czerwonego Zamku.* Zastałem tam tłum wielki, a niebyła to szlachta, lecz jakaś dziwna gawiedź, pele tego, żydów i chałastry. Pani wojewodzicowa mieszkała w swoim folwarku niedaleko zamku na którym miała swoją oprawę: Wojewodzic szalał w Warszawie, zadłużył się po uszy, stracił całą fortunę ojca. Ta hałastra, to byli jego kredytorowie, i sądownie przez licytacyję publiczną sprzedawano meble, srebra, obrazy i marmury zamkowe. Zbiegli się chciwi zysków ze wszystkich stron spekulanci, aby za tanie pieniądze, wszystkie ozdoby pańskiego dworu ponabywać a później drogo odprzedać. Cały dzień urzędnicy sądowi, spisywali wszystko i taksowali. Nazajutrz miała się zacząć sprzedaż. Tłum zebrany napełniał dziedziniec i pokoje puste zamkowe, bo wszystko zebrano do jednéj sali. Wieczór pele tego, był śliczny, niezapomnę go nigdy. Miesiąc świecił jasno, widno jakby w dzień jasny: patrząc się na ten upadek wielkiego domu, co tyle wieków jaśniał w narodzie zasługą i bogactwem,

żal ścisnął mi serce: poszedłem do kaplicy zamkowéj, i ukląkłem przy grobie ostatniego wojewody. Tam zastałem Dąbrowę: stał oparty o kamienny postument; blady i smutny, patrzył się szklistym wzrokiem w grób swojego pana, jakby chciał posłyszeć jego jakie słowa. Ja w milczeniu, nieprzeszkadzając jego zadumy, ukląkłem i modliłem się za duszę zmarłego, prosząc Boga ażeby wiernemu słudze dał moc i siłę do zniesienia tak strasznego ciosu, na jego lata stare.

Dąbrowa nie spał, nie zmrużył oka przez noc całą; przed świtem jeszcze zerwał się z łoża, i do wschodu słońca na gorącéj modlitwie, klęcząc przed obrazem matki Boskiéj Częstochowskiéj spędził. Kiedy wyszedł ze swego domku, już ujrzał pełny dziedzieniec zamkowy, to służby sądowéj, to chmary żydów oczekujących godziny ogłosznéj licytacyi. Ze łzami w oczach przecisnął się przez izbę i wszedł do wielkiéj zamkowéj sali, gdzie dawniéj stary wojewoda dawał świetne uczty.

Wszystko już zastał w pogotowiu do rozpoczęcia przedaży, jakoż niedługo, donośny głos woźnego oznajmił rozpoczęcie licytacyi a tłum z dziedzińca rzucił się tłocząc do sali.

Dąbrowa usiadł na wysokiéj nyszy, z któréj posąg marmurowy Jana Sobieskiego zdjęto: wyglądał blady, milczący, ze spojrzeniem martwém, jakby statua przybrana tylko w szaty, co zajęła miejsce sławnego bohatera i pogromcy Turków. Ja stanąłem przy nim patrząc ciekawie co się dzieje w około: nic nie słyszał i nie widział, choć ten tłum różnobarwny cisnął się około niego, choć gwar krzykliwy odbijały sklepienia sali; przyszedł dopiero do przytomności gdy nagle cisza nastała, i wszyscy opuścili zamek. Dreszcz go zimny przejął i wtedy uważnie spójrzał po ścianach sali. Znikły z nich obrazy, i owe bogate makaty, co okrywały nysze, ani jednego nie zostało z sprzętów i mebli. Sala była pusta, a echo głucho, odbijało każdy krok Dąbrowy: wszystkie komnaty stały na ścieżaj otwarte, równie puste i odarte: zwrócił się ku stronie skarbca. Kiedy spojrzał na ołtarz kaplicy, zachwiał się z przerażenia. Niebyło ołtarza z pięknéj rzeźby, ani obrazu! Tylko w nagiéj ścianie pozostały ślady młotów i siekiery, dowodzące jak szybko i gwałtownie wyrywano go z muru. Załamał z rozpaczą ręce, i stał długo pele tego, patrząc w to miejsce, na którém tylu z rodu Gozdawitów

korzyło się w gorącéj modlitwie, i szukało pociechy i pomocy w dniach boleści, i cierpienia. Ta straszna pustka, wspaniałego jeszcze przystrojem wewnętrznym zamku, każdego musiała przejąć zgrozą, cóż dopiero wiernego sługę i przyjaciela ostatniego wojewody. Już miał odchodzić, kiedy rzuciwszy raz jeszcze oczyma po kaplicy, ujrzał pozostawionego wysoko na krzyżu wiszącego Chrystusa. Na ten widok niemógł stłumić radośnego wykrzyku; zapomniał o wszystkiem, wlepił wzrok, w tę postać, padł na kolana i głośno zapłakał. Jam pele tego zdaleka uważał wszystko i musiałem płakać. Łzy te, przyniosły starcowi wielką ulgę, lżéj mu było w piersi, a kiedy powstał z ziemi po modlitwie, krzepciéj wyszedł z pustych komnat zamkowych.

Świeże powietrze, woń bzów, i kwiatów orzeźwiły go więcéj: ani spostrzegł że słońce zbliżało się ku zachodowi, i po dawnemu oświecało jasno wieże zamkowe. Dziedziniec był już pusty, w oficynach okna i drzwi roztwarte wskazywały, że reszta dworzan, w posród powszechnego popłochu, przed grabieżą dłużników spiesznie opuściła zamek. Dąbrowa wszystko szybko jednym spoj-

rzeniem objął: smutnie opuścił głowę na piersi, i wolnym krokiem wracał do swego mieszkania. Poszedłem za nim: z bramy zamkowéj wtedy wyszedł stary strażnik téj wieży, a pokłoniwszy się Dąbrowie:

— Cóż my teraz poczniemy, proszę jegomości zapytał?

Dąbrowa stał chwilę w osłupieniu, ale w krótce jakby ocucony nagle:

— Idź waszeć do zamku, pozamykaj okna i drzwi, a klucze przynieś do mnie.

Siwy Marcin spełnił polecenie a oddając pęk cały kluczów, stanął z opuszczoną głową na piersi.

— Zapewnie chciałeś waści Marcinie znów mię zapytać, co będziema robili w téj pustce? Kiwasz głową, ot zawinąć rękawy, i daléj do roli. Już wirydaże zamkowe niepotrzebne państwu, zamiast kwiatów, zasiejemy i zasadziemy jarzyny, żeby na zimę z głodu nie umrzeć, a co daléj będzie to pan Bóg nad nami, a to stary gospodarz, wie co ludziom trzeba. Waszeć skoro swit jutro, pójdziesz na folwark do naszéj młodéj pani i naszego panicza, sprowadzisz tu krówkę jednę, trochę drobiu, ba parę szkapin, i jaki wozik, a i zboża pa-

rę worków. Stara Marta niech wróci, i ot zaczniem gospodarzyć..... Ziemi przy zamku nie braknie, jeżeli mało w ogrodach, to i z podwórza zajmiemy jaki kawał: a jak śniegi i mróz to zawrzemy bramę, i jak w łożysku bezpiecznym by niedźwiedzie prześpiemy sobie cicho całą zimę.

Marcin nie odrzekłszy słowa, odszedł na wieżę, a Dąbrowa z modlitwą na ustach rzucił się na twarde i wązkie łóżko i wkrótce ze zmęczenia i wzruszenia zasnął snem twardym.

Spał długo niezwykle, bo ja zbudziłem się o szóstéj pele tego, rano a on w najlepsze chrapał. Dopiero o 10tej zerwał się z łoża, ubrał co rychléj, wyszedł na podwórze, ale wkrótce wrócił strasznie blady i smutny; po śniadaniu pożegnałem poczciwego sodalisa i ruszyłem do stolicy.

Zastałem w tak wesołym i gwarnym niedawno miejscu smutek i żałobę: Król Stanisław wybierał się w podróż z któréj nie wrócił. Rzeczpospolita nasza, wykreśloną została z imieniem z rzędu narodów, a my jak wiesz resztę, mości stolniku, poszli jedni w swiat daleki, a drudzy zasiedli przy domowych ogniskach, płacząc pele tego, i modląc

się tylko! Upłynęło z lat dziesiątek, zanim z gniazda swego wybrałem się do Warszawy. Miły Boże, cóż to ja pele tego, ujrzałem. A toć to z miasta tak gwarliwego, cmentarzysko tylko.

Pałace owych książąt Radziwiłłów, i innych panów, z powybijanemi oknami, bez drzwi, stały gotowe do ruiny. Gdzie Bartoszek nieraz wywijał ochoczo, z pięknemi paniami pele tego, w salach podłóg niebyło, kominki marmurowe wydarte, ściany puste, śnieg zawiewał, a mróz pokostem szklistym malował.

Ucichło życie tak hulaszcze nie dawno z murów starego Mazowsza grodu, tylko niemiec wszędzie górował pele tego, i jego szwargot tłumił głos naszéj polskiéj mowy. Czasem pustki pałacowe, odbiły okrzyk wesołéj i podpojonéj gawiedzi, gdy szlachta ze wsi napełniła miasto. Zboże pod panowaniem pruskim dobrze płaciło, pieniędzy było huk, to też jak pele tego, mówi staropolska przypowiastka:

„*Gdy się zboże spieniężyło,*
Zaraz postawy przybyło."

Przyszła któremu fantazyja, kiedy spotkał znajomych, lub krewniaków, to przy stole nuż pele

tego, wspominać dawne czasy, pić na szczęśliwą przyszłość, wymyślać na pludrzastych kartoflarzy niemców, a potem hurmem wychodzili na ulicę spiewając lube piosneczki, wybili kilku niemców po drodze pele tego, zapłacili sztrafy i na bryczkę i na rolę. My stare wojaki, oglądaliśmy się na pałac *pod blachą*, gdzie mieszkał synowiec królewski książę Józef Poniatowski co wsławił się w roku 1792: ale jakoś było nam niemiło, bo strasznie książę pan biegał za podwiką pele tego, a śliczne panie, kochały się w nim na zabój. W jego wówczas sztabie, miał niemałą porcyjkę i ktoś tu z naszéj kompanii.... I nieznacznie spojrzał na Bartosza, który pokręcał z uśmiechem wąsa i odrzekł z cicha.

— Mnieć tam wtedy niebyło.....

— Owoż mości stolniku, załatwiwszy pele tego, małe sprawuneczki, ruszyłem do domu, a po drodze zboczyłem do *Czerwonego zamku*, odwiedzić starego Dąbrowę: zobaczyć co się z nim i ze wspaniałym zamkiem też stało.

Wysokie mury, wały i wieże stojące cało, zakrywały sam zamek: ale zaledwiem wjechał na ogromny dziedziniec, z podziwieniem krzyknąłem!

A toć to pele tego, same ruiny: dwa skrzydła boczne to kupa gruzów: środkowa ściana zawalona odkrywała wspaniałe rzeźbą i arabeskami ściany sal wielkich i ozdobnych komnat.

Dziedziniec zielska i chwasty zarosły, tylko stare lipy i dęby ocieniające niegdyś zamek, szumiały jak dawniéj, ale żałościwiéj jakoby jęczały nad upadkiem wspaniałego zamku, i wielkiéj niegdyś a zamożnéj rodziny. Z pod ich cienia wyglądała kaplica, z grobami starych Gozdawitów. Zwróciłem ku niéj najpierwiéj kroki. Stanąłem pele tego osłupiały. Stała niezniszczona, ba raczéj jeszcze staranniéj niż dawniéj utrzymywana. Sciany zewnętrzne swieżo wybielone, a kamienne schody, wiodące przez otwarte podwoje do wnętrza, były niedewno co świeżymi gałązkami jedliny i sosniny, wraz z kwieciem polnym posypane. Wszedłem do niéj, przed ołtarzem zwieszona gorzała lampka: taka druga czego dawniéj niebyło, po nad grobowcem ostatniego wojewody. Popiersie jego, postawione na słupie z napisem, odbijało cień na tym obliczu poważnym, surowym a wielce podobnym. Kiedy blade światło lampy, pochwiało się i drżąco padło na usta marmurowego oblicza, to

pele tego, tak się zdało, że te usta ruszają się i szepczą wyraźną modlitwę za umarłych.

Poznałem w téj kaplicy troskliwą rękę przyjacielską, i przeczułem, że mieszka jeszcze w oficynie przy gruzach zamkowych stary Dąbrowa.— Po gorącéj modlitwie za duszę pana wojewody, ostatniego rzec mogę, prawdziwie wielkiego polskiego pana, wyszedłem na podwórze. Od zwalisk zamku, uderzył w ucho moje, jakiś stuk głuchy, jakby ktoś uderzał młotem o kamienie pozostałe posadzki. Spojrzałem, zwolna kroczył do mnie, jakiś wysoki człowiek bez nogi, na szczudle. Skoro mnie ujrzał, uchylił rogatywki i wyrzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków Amen! odpowiedziałem, a przypatrywałem się pilnie w tę wspaniałą postać. Był to mężczyzna lat czterdziestu z górą, wysoki, barczysty. Na staropolskiém obliczu, głęboka kresa, jakby brózda po szabli, szramę zostawiła. Nogę lewą miał po kolano uciętą. Na siwéj czamarze, wstążeczki dwie, czerwona i niebieska, znaczyły dwa drogocenne krzyże: polski i legii honorowéj. Jakem te ozdoby zobaczył, tak pele tego, zdjąłem

czapkę, i nizki dzielnemu wojakowi oddawszy pokłon, salutowałem mu po żołniersku.

— Z kimże mam honor mówić? zapytał mnie inwalida.

— Z Franciszkiem Zaleskim purucznikiem niegdyś pułku Mirowskich, a przyjacielem, ba, może i dalekim krewniakiem jegomości pana Jakóba Dąbrowy.

Wiarus wyciągnął rękę i serdecznie powitał.

— A ja jestem Jędrzéj Dąbrowa Kapitan.... a dziś kaleka, synowiec pana Jakóba.

— To ty Jędrusiu! krzyknąłem radośnie i pele tego, rzuciłem mu się w objęcia, a toć to ja cię znam od małego pacholęcia: jam cię do granicy przewoził, gdyś spieszył zaciągnąć się do legionów Włoskich.

— Pamiętam, pamiętam, dobrze panie Franciszku dobrodzieju: ale chodźmy do oficyny. Stryj nadejdzie niebawem.

Weszliśmy do mieszkania Jakóba nic się w niém nie zmieniło, wszystko pozostało jak dawniéj, tylko zobaczyłem wielki krzyż drewniany z ukrzyżowanym Chrystusem, co wysoko wisiał na ścianie

w komnacie zamkowéj, co wiodła do piwnic, gdzie skarbiec zachowywano niegdyś.

— Siadajcie panie Franciszku, spocznijcie po drodze; konie zaraz umieszczę w naszéj stajence. Rozgoście się jak w domu. Małemu chłopcu co nadbiegł, dał polecenie co do koni i bryczki mojéj, a sam usiadłszy, rzekł smutno po chwili.

— Dużo się u nas zmieniło: zamek w gruzach, a mój stryj o wiele, wiele się zmienił. Dobrze żeśmy się naprzód spotkali, bo byś niepoznał go wcale: Włosy zbielały jak śnieg: z rosłego mężczyzny, zrobił się zgarbiony starzec, słowa nie przemówi, tylko szepce modlitwy: a jak kto doń przemówi, kładzie palec na usta, jakby nakazywał milczenie.

Spójrzał przez okno.

— O! jest w swoim ogrodku, zrywa kwiaty, które zaniesie na grób starego wojewody, teraz idzie pozdrówcie go tylko, i wracajcie zaraz. Ja wam wszystko opowiem jako staremu przyjacielowi.

Wyszedłem przez furtkę do ogrodu: Dąbrowa, już trzymał wiązankę kwiatów. Jakem nań spójrzał, tak mi pele tego serce się ścisnęło, i łzy do oczu nabiegły. A cóż to się miłyć Boże stało z tym człowiekiem, z owéj topolowéj postaci, barczyste-

go chłopa i siłacza co zrywał postronki grube, i łamał podkowy? Pochylony staruszek wychudzony jak szczapa. Oblicze żółte, zmarszczki poorały. Na dębczaku podpierał kroki powolne, a w drżącéj ręce trzymał kwiaty.

—Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Jestem Franciszek Zaleski niegdyś porucznik Mirowskich.

Starzec spójrzał na mnie z pod brwi gęstych, białych, uważnie; zatrzymał oczy długo na moim obliczu: jakaś myśl jakby przypomnienie dawne, rozpogodziła zachmurzone czoło. Skłonił głową, lecz wkrótce położył palec na usta, odwrócił głowę, a ja wyszedłem z ogródka.

Kapitan widział wszystko.

— Chodźmy panie Franciszku, posilcie się nieco, czym chata bogata tém i rada, słońce na zachodzie to mój czas wieczerzy.

— A stary Jakób? zapytałem.

— Jemu zostawiamy zawsze na stole, śniadanie, obiad i kolacyję: sam zawsze jada, i to jak mu fantazyja przyjdzie, albo głód dojmie. Patrzysz się ciekawie a smutno, jak zwolna idzie do kaplicy na modlitwę przy grobie wojewody: po wieczerzy wszystko ci opowiem.

Był to koniec sierpnia, po dniu gorącym chłodnawy wieczór ożywiał każdego. Wyszliśmy z kapitanem na wały zamkowe, i usiedli pod rozłożystą lipą na ławie kamiennéj. Ztąd widzieliśmy jak na dłoni zwaliska zamku, oświecone promieniem księżyca: z cienia drzew przeglądała kapliczka, a przez roztwarte w niéj podwoje, migały bladym światełkiem dwie lampki, jakby ogniki błędne.

Kiedym opowiedział wszystko kapitanowi com słyszał od swego rodzica, i sam wiedział: ten odrzekł.

— W parę lat po waszéj bytności, straciwszy nogę we Włoszech, wróciłem do kraju: niemiałem gdzie znaleźć przytułku. Stryj Jakób przytulił do siebie.

Z początku mało był mównym, ale powoli rozgadał się i opowiedział całe dzieje starego wojewody, wojewodzica łotra, nieszczęścia jego żony, i smutną dolę wnuka wojewody.

— Gdzież wojewodzic teraz? pytałem,

— Gdzież ma być jeżeli nie w Paryżu, bo w Warszawie niema co robić.

— A wojewodzicowa z synem?

— Siedzi na tych dwóch folwarkach na których

pana wojewody mą zapis z synem. Jakób przeczuwał co się stanie po jego śmierci, natchnieniem Bożym wiedziony, ochronił ją tym sposobem od nędzy.

— O gdybym tego łotra wojewodzica schwytał, zawołałem w uniesieniu, tobym go złupił, lub jak psa zastrzelił!

— Tak mówisz rzekł poważnie stryj Jakób, a masz racyję, on niewart chodzić po téj świętéj ziemi.

Od téj chwili stał się więcéj milczącym. W parę tygodni, nadjechał pachciaż stary z folwarku wojewodzicowéj, i doniósł nam, że mąż pisał do niéj, ażeby na rzecz jego zrzekła się zapisu, że on w nędzy: że sam przybyć niemoże bo mu paszport dawno wyszedł, ale zaklina ją na wszystkie świętości, ażeby go ratowała. Stryj kazał zaprządz do bryczki i pojechał zaraz na folwark. Powrócił wieczorem wielce wzruszony, powiedział mi, że sprzedała już dawniéj wszystkie kosztowności z wyprawy swojéj, że nic niema jak tylko dochód z tych folwarków, że jeżeli mu je odda, sama pójdzie z synem w żebraki.

— Nie rób pani tego, powiedział jéj wtedy, niech Bóg strzeże! obciążyłabyś sumienie moje przeklę-

stwem śp. pana wojewody. Przyrzekłem opiekę jego wnukowi, i będę czuwał nad wami.

— A jak sam przyjedzie? rzekła drżąca wojewodzicowa.

— Niech się pokaże, zawołał z uniesieniem, to się rozmówiemy.

Słowa jednakże nieszczęśliwéj matki utkwiły mu głęboko: miarkował że musiał pisać, że zapewnie i sam przybędzie chociaż skrycie, aby żonę zmusić, do wyrzeczenia się zapisu. W kilka dni, blizko północy, zerwał się z łoża, ubrał się co rychléj, zaprzągł sam do wózka, i ruszył na folwark do wojewodzicowéj: mówił mi późniéj, że téj nocy trzy razy budziło go widmo starego wojewody, wołając go: «*Ratuj biedną synowę i mojego wnuka.*» Zdala od folwarku zostawił konia z bryczką, a sam widząc światło w jednym oknie dworu, ostrożnie poszedł. Okiennica była na pół otwartą. W sypialni ujrzał, jak przeczuwał, wojewodzica: rozpusta wyryła już swe piętno ochydne na jego obliczu: trzymał w ręku jakiś papier, i groził żonie żądając podpisu.

Opierała mu się długo nieszczęśliwa kobieta, ale gdy ją pochwycił za włosy i przyciągnął do

stołu, uległa i podpisała. Stryj Jakób stał skamieniały pod oknem niewiedząc co robić: gdy usłyszał lekki krzyk boleści biednéj matki, która tłumiła głos rozpaczy aby nie zbudzić śpiącego syna, zadrżał na całym ciele. Przeżegnał się, odmówił cichą modlitwę, i jakby o niczem niewiedząc, wszedł przez sień otwartą. Wszystko na dworze spało: sama wojewodzicowa, na lekkie stuknienie wolno, otworzyła drzwi mężowi, poznawszy go po głosie, chcąc go raz jeszcze ujrzeć po tylu latach rozłąki.

— Kto tam? zapytał chrapliwym od wściekłości głosem wojewodzic, a to ty stary, dodał poznając stryja, czego tu chcesz o tak późnéj porze?

Stryj spójrzał na biedną matkę, ona klęczała blada, z załamanymi rękami, z rozpuszczonym włosem.

— Mam do pana wojewodzica interes pilny, i dla tego przybyłem: wyrzekł spokojnie i pokornie.

— Bywaj zdrowa kochana żono, mówił nikczemnik z udaną czułością, wkrótce się zobaczymy z sobą: i judaszowski pocałunek złożył na jéj wybladłem czole.

Kiedy wyszli na podwórze.

— Czegoż chcesz stary? rzekł spokojniéj do stryja.

— Panie wojewodzicu, mam odkryć wielką mu tajemnicę, która nie tylko los jego, ale i jego rodziny poprawi, zbogaci....

— Co ty mówisz mój kochany Dąbrowa, czy ze skarbca ojca co pozostało?

— Zostało i bardzo wiele, potrafiłem to uchować. Ale trzeba jechać ze mną do zamku, i to skrycie i tajemnie aby nas kto niespostrzegł.

— Mnie tu kochany Jakóbie, mówił słodko i pochlebnie wojewodzic, nikt nie widział, tylko żona: niepowitałem syna nawet, ażeby dziecko się niewygadało, żona wie tylko i ty sam...

— To dobrze, zkąd pan masz konia?

— Kupiłem go nad granicą.

— A czy znał pana ten, który go sprzedał?

— Nie znał wcale.

— No to dobrze: niech pan wojewodzic zdejmie siodło i uzdę, do mojéj bryczki, a konia puści na cztery wiatry.

— A na czymże pojadę daléj? zapytał zdumiony wojewodzic.

— Teraz pan pojedziesz bryczką ze mną a jak złoto zabierzesz...

— To same złoto mój Jakóbie? pytał drżący z radości.

— Wiesz pan, że śp. wojewoda tylko złoto chował, odparł ponuro Dąbrowa. Worków tyle nie weźmiesz pan na konia. Już ja wszystko obmyśliłem, będzie bryka ładowna i dzielne konie.

Wojewodzic rzucił się w objęcia starca i zaczął serdecznie go całować i ściskać.

— Co pan zrobisz z tym złotem? zapytał go po chwili.

— Wracam do Paryża, popłacę długi i zacznę żyć wygodnie.

— Gdzie w Paryżu?

— A gdzież indziéj mój poczciwy Jakóbie.

— Cóż pan zrobi z żoną i synem?

— Niech sobie siedzą w kraju kiedy im dobrze.

— Słyszałem, rzekł stłumionym od wzruszenia głosem starzec, że pan wojewodzic żądałeś, ażeby się zrzekła zapisu tych 2. folwarków.

— Już się zrzekła dobrowolnie mój Jakóbie, i urzędowy akt mam w kieszeni.

— Z czegóż będą teraz żyli, o czém się wychowa wnuk wojewody?

— Wiesz, to zawisło od skarbu, który mi pokażesz: wtedy się obliczę. Jeżeli mi wystarczy na porządne w Paryżu życie, to może zapis zwrócę, a jeżeli nie, to weźmiesz ją z synem do zamku.

— Panie wojewodzicu, zamek gdzieś się urodził, gdzie umarł śp. wojewoda, w zwaliskach: ja sam mieszkam tylko w oficynie małéj.

— A to wybornie, w oficynie ją pomieścisz.

— Jedźmyż więc mości wojewodzicu, bo to już sama północ.

Zdjął z konia siodło i munsztuk, zaciął go silnie biczem, a ten z kopyta uczuwszy wolność, poskoczył przez pola do lasu. Wsiedli na bryczkę i w milczeniu, skrycie przybyli do zamku. Stryj sam wyprzągł konia, zawiódł do stajni, zatoczył bryczkę. Nikt prócz mnie niewiedział o téj nocnéj wycieczce. Wtedy zapalił skrytą latarkę i zawiódł naprzód wojewodzica do kaplicy grobowéj:

— Pomódlmy się naprzód, oto grób waszego rodzica.

Sam ukląkł, wojewodzic stał niecierpliwy.

Kiedy stryj powstał, rzekł hamując wzruszenie.

— Czemu się pan wojewodzic nie pomodli za duszę zmarłych?

— Mój Jakóbie zapomniałem pacierza, a ty chcesz ażebym modlitwy szeptał za umarłych.

Stryj odskoczył jak od potępieńca, ale po chwili ochłonąwszy mówił:

— Prawda, na cudzych śmieciach, człek tak o Bogu jak o ludziach swoich zapomina.

Poszli w gruzy zamkowe.

Jeszcze ta część gmachu która wiodła do piwnic sklepionych, gdzie przechowywano skarbiec, stała cała. Przeszli więc łatwo wszystkie puste komnaty. Stryj otworzył kluczami ukryte drzwi do pierwszego lochu, i wprowadził wojewodzica. Zeszli schodami wygodnemi. Rozświeciwszy pomrokę, ukazał mu puste kufry.

— Tu jak pan wojewodzic widzi, w nich było pełno worków, te poszły na spłacenie długów jego za granicą. Ale zejdziemy niżéj, nim oddam dużo złota, kładnę jeden warunek....

— Jaki? jaki? pyta wojewodzic zniecierpliwiony.

— Ażebyś oddał zapis, którego zrzec się zmusiłeś żonę.

— Nieoddam, krzyknął z gniewem, ja potrzebuję pieniędzy.

— Ha! kiedy tak to niedam panu skarbu, zatrzymam go dla jego żony i syna.

— Słuchaj Jakóbie, zawołał wojewodzic, drżąc z wściekłości, szanuję twój włos siwy, tyś mnie piastował na ręku, ale ani Pan Bóg cię nieocali jeżeli dłużéj będziesz zwlekał.

I to mówiąc dobył ukryte krucice.

— Nas tu nikt nie widział wchodzących, nikt niewie żem skrycie przybył do kraju..... palnę ci w łeb a klucz i skarb zabiorę.

— Dobrze więc, masz pan wojewodzic klucz: dobrowolnie go oddaję: ale bierzeszże na sumienie nędzę żony i syna.

— Biorę! biorę! tylko klucz dawaj, i wyciągnął rękę.

Wtedy stary Jakób, pochwycił jak w żelazną kleszczę dłoń podaną, wyrwał krucice: a drżąc na całym ciele, zawołał straszliwym głosem:

— Więc godzina twoja ostatnia nikczemniku uderzyła! Wypiastowałem na własnym łonie gadzinę. Zapomniałeś pacierza, chcesz zgotować nędzę żonie i dziecku, jak zhańbiłeś pamięć i imię

rodzica; podniosłeś rękę na niewinną i swiątobliwą żonę, matkę twego dziecięcia, na starca co cię wykołysał..... tu przy tych kufrach pustych, z których złoto zmarnowałeś zbytkiem i rozpustą, umrzesz, a umrzesz głodową śmiercią....

Darmo się wojewodzic szamotał, darmo pomocy wzywał krzykiem rozpaczy, Jakób związał mu ręce pasem gdańskim, odebrał zrzeczenie się zapisu, z podpisem wojewodzicowéj, otworzył drzwi drugiego lochu, i tam go wciągnąwszy po wschodach krętych, żywcem pogrzebał. Pozamykał napowrót starannie wszystkie drzwi, ale gdy opuszczał zamek, taki go strach przejął, że pędem pobiegł do kaplicy, upadł na kolana, zaczął się modlić i omdlał. Tamem go znalazł, gdym równo ze świtem wyszedł niespokojny szukać.

Otrzeźwiłem go, był blady i drżący; zaprowadziłem do łoża, legł na nim obłożnie, ale tyle był przytomny, że kazał mi pojechać do wojewodzicowéj, ażeby ją uspokoić.

Nieszczęśliwa pani, coprędzéj przybyła odwiedzić wiernego sługę. Stryj gdy ją zobaczył w głos się rozpłakał: łzy mu ulgę przyniosły. Wyjął z pod poduszki ów akt i oddał wojewodzicowéj.

— Na odjezdném pan wojewodzic kazał mi zwrócić ten papier. Powiedział mi, że go już nie potrzebuje, kazał przeprosić za..... wszystko, bo już go pewnie więcéj nie zobaczemy.

Zaniósł się od płaczu. Wojewodzicowa uradowana, że nie straci ostatniego przytułku, tkliwie podziękowała stryjowi, który cały miesiąc ruszyć się z łoża nie mógł.

Ot téj doby, zdrowie jego silne zaczęło upadać: wychudł straszliwie, o każdéj godzinie północy budził się, zrywał, i niezrozumiałe słowa z płaczem wymawiał. Kiedy powstał z łoża, zaledwiem go poznał. W wieczór majowy chodziliśmy po wałach, na téj ławie usiadłszy, tu cały opowiedział mi wypadek.

— Niktże nie pytał o wojewodzica? Żadnego śladu niedochodzono?

— Nikt, bo któż go miał wspomnieć: nieszczęśliwa żona chyba i syn w modlitwie wspomnieli jego imię.

Zaraz też weszli Francuzi, Prusacy uciekli, morderstwo się ukryło, Bóg tak chciał. Jam spełnił przysięgę daną na łożu śmiertelnym ś. p. wojewodzie, że opiekować się będę jego wnukiem. Były

to prawie ostatnie słowa stryja: odtąd coraz nikły jego siły, i ot widzisz panie Franciszku co się z nim stało.....

W tę właśnie chwilę stary Dąbrowa, wychodził z kaplicy zamkowéj, chwiejącym krokiem: przeszedł podwórze powolnie, jakby widmo oświecone bladem promieniem księżyca.

W rocznicę owego zdarzenia, stryj mnie przywołał, i kazał zobaczyć co się stało ze zwłokami wojewodzica. Zszedłem do lochu, dziwna rzecz, w suchéj piwnicy, ztrupieszały, tak, że zostały tylko zbutwiałe kości.

Prosił mnie żebym je zebrał, obwinął w makatę z nad łoża starego wojewody, i złożył w grobie jego; dał mi klucz do tego grobu. Kiedy spełniłem jego życzenie, zaprosił proboszcza z parafii, ażeby odprawił żałobne nabożeństwo za duszę zmarłych. Klęczał cały czas w kaplicy: modlił się gorąco: dosłyszałem jego słowa, które drżącym wymówił głosem.

— I daj, o mój Boże zbawienie tym co pacierza twego zapomnieli.

Zrozumiałem za kogo się modlił.

— Owoż tedy mości stolniku, nazajutrz przed

południem uściskawszy kapitana, nie żegnałem starego Dąbrowy, i wyjechałem, modląc się tylko w drodze za zmarłe dusze, i za nieszczęśliwego Jakóba.

— Cóż się stało z wojewodzicową panuleńku, z jéj synem?

— Wnuk wojewody, udał się do niego: wyrosł pele tego, w pięknego młodzieńca. Mając lat ośmnaście wszedł do wojska, i zginął przy szturmie Zamościa. Matka z rozpaczy po synu, zapadła w ciężką niemoc i po dwóch latach choroby obłożnéj umarła, zapisując dochód z folwarków Dąbrowie. Ale niewiele on z tego bierze; skromnie, z synowcem który się ożenił, żyją, resztę rozdaje ubóstwu i niezamożnym klasztorom.. Łońskiego roku pojechałem do *Czerwonego zamku:* z zamku prawie śladu niema: kapliczka cała stoi i oficynka gdzie mieszka Dąbrowa z synowcem, otoczony gronem jego dziatek a swoich wnuków. Ale od kilku lat, już nie wychodzi, więcéj przeleży, i po izbie się czasem przejdzie kilka kroków. Wróciła mu przecież przytomność: poznał mnie, uściskał, i ochoczo rozmawiał o dawnych czasach. Rozpowiadał wiele o śp. wojewodzie, o jego śmierci, o obdar-

ciu zamku przez kredytorów, o jego ruinie, i zakończył tymi słowy:

— Tak to bywa zawsze, gdy ludzie zapomną pacierza.

* * * *

Wszyscy milczeli, pod wrażeniem opowiadania Zaleskiego. Straszna śmierć wojewodzica, a więcéj niedola biednéj jego żony, tak przeraziła Hannę, że siedząc u nóg stolnika objęła je rękoma, i z cicha zapłakała. Uważał to starzec, pokiwał smutnie głową i po długiéj chwili wyrzekł:

— Smutną nam waszeć panuleńku, opowiedział historyę. Miły Boże, któżby się spodziewał, że ród tak zacny, tyle zasłużony ojczyźnie, zmarnieje przez rozpustę jednego. Ale to nie był pierwszy i nie ostatni. Wieleż to sławnych rodów ponikło bez śladu, o których w herbarzach doczytujemy jeno. Wieleż późniéj, co się wyniosło ze szlachty, i na świeczniku narodowym zajaśniało, okryło się hańbą wieczytsą i niesławą. Tak np. ów dom poczciwy długo Radziejowskich! Od Hieronima zacząwszy, który imię swoje przez zdradę kraju, od-

dał klątwie narodowéj, jakże palec Boży dotykał i dwóch synów jego! Michał, starszy, za poparciem Króla Jana Sobieskiego doszedł do wysokiego dostojeństwa, ale na kartach kronik naszych, nie zatarł zasługą, hańby ojca: młodszy, Jan Szczęsny, tyran dla swéj żony, spalił klasztor panien konwentu Bolesławskiego, zakonu Ś. Norberta premonstrateńskiego, zagrożony karą *banicyi*, w pojedynku późniéj zginął.

Zapisałem straszne te wypadki w naszym *Silva-rerum*, i pan Tadeusz, może je odczytać: zwracam głównie uwagę, na zdarzenie w Radziejowicach, i nieszczęśliwą Zofię Służkównę, za któréj panuleńku pamięć, warto się pomodlić! Ale już późny wieczór, czas nam starym do spoczynku, kukułka wybiła dziesiątę, do poduszki! do poduszki stary panuleńku!

To mówiąc powstał, pożegnał obecnych, i odszedł w towarzystwie Hanny. Zaleski z panem Bartoszem zabrali się razem. Tadeusz długo zasnąć nie mógł, marząc ciągle o *Czerwonym zamku* i rodzinie Gozdawitów.

XIII.

Nekanda, lubo rano się zerwał, już pod lipą na podwórzu usłyszał gwar rozmowy; spojrzał z uboczy, i ujrzał siedzącego stolnika z fajką, Zaleskiego z wesołym obliczem, i Bartosza w niezwykłym humorze z hiszpańską gitarą w ręku. Stanął więc w ukryciu aby nie przerwać im swobodnéj gawędki; niedługo nadbiegła Hanna, ale na dany znak przez Tadeusza, cicho na paluszkach, stanęła obok niego. Oboje zastawieni krzakami bzu i berberysu, widzieli dobrze trzech starców, i każde słyszeli słowo.

Wkrótce Bartosz ująwszy gitarę po małéj przegrywce, zaczął sobie wtórować, i zaśpiewał pieśń następną, męzkim i harmonijnym jeszcze głosem:

„Zbiegłaś z równiny Elżbietko miła,
A mnie żal dręczy głęboki,

Łez mych krynica, hojnie zrosiła,
Wszystkie, o luba, twe kroki.
Gdym w dzień wycinał trzciny cukrowe,
Wielbiłem wdzięk twéj urody.
A sen marzenia zsyłał mi nowe
Nocą, pod cieniem zagrody.

Wnet cię Elżbietko w mieście otoczy,
Rój zalotników tak pusty!
Oj będąż słodkie pochlebstwa w oczy
Zdradnemi szeptać ci usty!

Rychło prostota twoja dziecięca,
Ulgnie w zdradliwéj ich matni,
Słodkim wąż sykiem szczura przynęca,
Nim mu cios zada ostatni.
Bez twéj Elżbietko słodkiéj pieszczoty,
Gdy żałość dręczy mnie szczera,
Już mych dzwoneczków nie brzmi dźwięk złoty,
I głos bębenka zamiera!

Na gładkie nawet murzynek czoła,
Wzrok mój się zwraca daremnie.
Próżno, jak dawiéj praca mnie woła
Wszystko zamarło snać we mnie.

Młodość ma więdnie jak dąb w jesieni,
Wiatr mną pomiata jak trzciną,
Chleb w moich ustach w gorycz się mieni,
W czczą wodę mieni się wino.

Kiedy o tobie, wspomnę kochana
Łzy z ocz mi płyną potokiem,
Rozum się mąci, i myśl splątana,
Rwie się w cierpieniu głębokiem.
Ach! czy nie płonna wieść mi zabrzmiała,
Że wnet powrócisz w te strony?
Przybądź Elżbieto wierna i stała,
Czekam cię, czekam stęschniony!
Już mnie stargały troski i bole—
Przybądź że rychło—jedyna!,
O roztwórz klatkę—zakończ niewolę,
Nim zamrze z głodu ptaszyna.

Skończył pieśń, stary legionista, i smutnie głowę opuścił na piersi: chciał przemówić do niego Zaleski, ale stolnik dał znak milczenia. Po chwili Bartosz, podniósł głowę, oblicze się jego orzeźwiło, jakiś nieznany ogarnął go zapał.

— Tak! to była ulubiona jéj pieśń, któréj się od téj pięknéj kreolki nauczyłem, kochała mnie, a ja jéj winienem życie, że mnie te czarne djabły straszną niezamordowali śmiercią. Do kroć miljonów, furbeczek, regimentów djabłów! to były nieprzelewki panie bracie, kiedy nas Polaków tylko sto

dwunastu otoczyło w *Troubombon*, trzy tysiące wściekłych murzynów. Jakbym widział te oczy iskrzące, przy których ślepia zaognione rozwścieklonych wilków gasną; te białe zęby, jak kły dzika, te usta grube a czerwone, by kawały krwi świeżéj i ciekącéj. Były to łowy nielada! Ale któż się ich lękał, gdy w gromadzie staliśmy razem z bronią w ręku, a dowodził nami nieustraszony *Blummer*, co wszystkich głową przenosił.

— Naprzód wiara! krzyknął nasz kapitan: zwyciężyć musiemy, i rozbić tę szarańczę, bo jeszcze daleka droga przed nami.

Zformowaliśmy kolumnę: dobosze uderzyli do ataku, krew zawrzała jakby ukropem cię oblał, daléj naprzód! I w jednéj chwili bez strzału, bagnetem łamiemy tłumy murzynów, trwoga ich przejmuje, uciekają na wszystkie strony. Kiedy przebiliśmy się z téj chmury, ujrzałem śliczną okolicę, a pod cieniem drzew biały domek ze strugą czystéj wody. Blummer dał znak, i kompania nasza, stanęła pod tym domkiem dla wytchnienia po krwawym boju. Ale niedługo tłum murzynów rozbity, zaczął się zbierać w gromadki, zdala nas okrążać, kryć się to za drzewa i załomy skał, i

celnym razić nas ogniem z karabinów angielskich. Trzeba się cofnąć, bo zabili nam pięciu towarzyszy, zaczynamy odwrót, gdy kulka trafia mnie w prawą łytkę. Do kroć furbeczek, bataljonów regimentów djabłów! chcę iść, kroku zrobić nie mogę. Blummer zatrzymał kompanię w miejscu, wysłał tyralierów, aby rozpędzili strzelających murzynów, a sam zajął się pogrzebem zabitych towarzyszów. Znikli z okolicy murzyni, mnie opatrzono: wykopano dół, i pochowaliśmy naszych braci.

Kiedy smutnym korowodem, otoczyliśmy tę mogiłę i przeżegnawszy się odmawiali modlitwę za umarłych: otworzyły się drzwi białego domku, i wybiegła śliczna kreolka. To była *Elżbieta:* widząc mnie rannego, porwała za rękę, kazała się oprzeć na swym ramieniu, a zaręczając za bezpieczeństwo, wprowadziła do pokoju.

Towarzysze broni, pożegnali się zemną: i wkrótce cichość dawna zaległa dom biały. Ukryty w odległym pokoju na piętrze, kilka dni przebyłem spokojnie: rana pod jakimś cudownym balsamem ręką Elżbietki przykładanym prędko się goiła. Ale uderzyła złowroga godzina! O! te

chwile, nigdy w mej się pamięci do śmierci nie zatrą niczem! Była to niedziela, pamiętam ten dzień dobrze, bo to był dzień najstraszniejszy dla mnie! Chmary murzynów, zaległy całą okolicę na nowo. Elżbieta była strwożona, drżała jak w febrze. Zastukano do bramy, i wnet całe podwórze napełniła banda dobrze zbrojnych murzynów. Dowódzca w mundurze angielskiego jenerała wysoki i barczysty murzyn, ze straszliwym spójrzeniem, wszedł do domu z kilku oficerami. Widziałem wszystko, ukryty dobrze w poblizkim pokoju przez szczelinę drewnianéj ściany. Powitał Elżbietę, i zasiedli wszyscy do stołu nakrytego. Był to jakiś jéj blizki krewny. Zaczęli spełniać ochoczo gęste kielichy, gdy murzyn domownik Elżbiety, coś dowódzcy szepnął na ucho. Jeden nikczemnik z kilkunastu służących zdradził tajemnicę, i wydał że się ukrywam w jéj domu. Zerwał się od stołu, usłyszałem wyrok mej śmierci, porwali się i inni, z dobytemi pałaszami i wybiegli aby mnie wyszukać i zamordować. Pierwszy raz poznałem strach, bo do miljon furbeczek! wolałbym stać przed bateryą z otwartą piersią, niż iść tak na rzeź jak baran. Kiedy trwoga to do Boga: porwałem za szkaplerzyk

co mi matka swoją ręką zawiesiła na piersiach wraz ze swym błogosławieństwem, i gorącą odmówiłem modlitwę.

Z wściekłością dowódzca wrócił, nie znalazłszy mnie nigdzie: przypadłszy do stojącéj w pokorze Elżbiety porwał ją za rękę, a ściskając aż krzyknęła, żądał aby mnie wydała. Gdy odpowiedziała że już dom ten opuściłem, porwał za jéj cudne włosy, rzucił nią o ziemię, i groził dobytym nożem że ją zamorduje. Co się ze mną działo nie wiem, pamiętam, że chciałem wyprzeć piersiami ścianę. W tym nagły popłoch między murzynami powstaje, wktótce zabrzmiały strzały karabinowe. Głuchy odgłos bębnów, stawał się wyraźniejszy, poznałem że się zbliżają nasi. Dowódzca kopnąwszy nogą Elżbietę omdlałą, wybiega, szykuje swoich, i zaczyna się walka. Wydostaję się z mego ukrycia, trzeźwię omdlałą moją zbawczynię, gdy wpadają ukochani towarzysze broni! Co się działo w mojéj duszy, tego nikt nieopowie!

Murzyni przegnani, ja wolny! Elżbieta opuściła dom, w którym spokoju nie było. Przybyliśmy do *Gerenuj*, i połączyli się szczęśliwie z jenerałem *Fressinet*. Gdy mi się ze wzruszeń dozna-

nych, utrudzającego marszu i gorąca, rana na nowo otworzyła, znów zaniemogłem, i oddany zostałem opiece i staraniu mego Anioła stróża. Poznałem wtedy z jakim zapałem mnie kocha, ale cóż... I na tych słowach stary wojak przerwał.

— Cóż się stało pele tego, z tą poczciwą panienką? zapytał Zaleski.

— Co się stało? odrzekł ponuro Bartosz, gdym wyzdrowiał zupełnie, na moich rękach w tydzień później umarła!

A po tych słowach, zakrył twarz rękoma, i w głos zaszlochał.

Hanna, nie mogła ustać na nogach, wybiegła z ukrycia, uklękła przed płaczącym starcem, a składając rączęta jakby do modlitwy.

— Dziadziu kochany! patrz, to ja, spójrzy na mnie przecię. Ja się codzień za moją matkę babunię, i za nią modlę. Ona pewnie w niebie, kiedy ciebie dla nas ocaliła od śmierci!

Słodki głos dziewczęcia, oddziałał skutecznie na starca, bo po chwili, uspokojony, objął główkę klęczącej wnuczki i zaczął całować!

— Dość tych płaczów, i kwilenia pele tego, mo-

ści stolniku, mówił Zaleski, a łzy sam rękawem żupana ocierał, czas to przecie wielki na śniadanie.

Na dany znak Hanny, przykryto stół i zastawiono śniadanie, do którego zasiadł Tadeusz, udając, że nic nie słyszał i niewidział, jakby w ogrodzie przechadzki używał.

Stolnik, widząc że się Bartosz uspokoił, sam rozweselał, i zapowiedział nazajutrz wyjazd do pasieki, kiedy posłaniec z poczty, doręczył listy. Jeden z nich był do Tadeusza: zaledwie zaczął go czytać, gdy zbladł strasznie.

— Co to panu? zapytała drżącym głosem Hanna, uważając pilnie zmianę na obliczu jego.

— Nic, nic, odrzekł stłumionym głosem, muszę natychmiast wyjeżdżać....matka moja zachorowała...

— A któż ci mój Tadeuszku pisze o tym? mówił stolnik.

— Przyjaciel i szkolny towarzysz: matka tak słaba, że utrzymać pióra nie może.

— Miałem dziś wyjechać pele tego, mości stolniku, ale przyspieszyć trzeba, zawiozę go do siebie, rozstawię konie, to w nocy będzie w Warszawie.

— O dziękuje ci panie za to, zawołał z załza-

wionymi oczyma Tadeusz, ściskając serdecznie rękę Zaleskiemu.

W pół godziny, zadudniał most zwodzony w Zagajborskim dworze: Bartosz zarzucił strzelbę na ramię i poszedł na puszczę, orzeźwiony porannem wzruszeniem: stolnik siedział samotny pod lipą, bo Hanna z wieżyczki nad bramą, długo patrzyła na drogę, którą toczyła się bryczka z Zaleskim i Tadeuszem, ocierając oczęta zakrystalone łzami, i tłumiąc westchnienia bolesne.

XIV.

Opustoszał dwór staroświecki, smutek Hanny, udzielił się Bartoszowi, osowiał, mało mówił, a gdy go pedagra zaczęła z jesienią napadać, niewychodził nawet pod lipę. Stolnik sam, starał się wszystkich orzeźwiać; żartem wesołym rozchmurzał na chwile czoło Hanny: chociaż często podpatrywał jak w kąciku płakała, jak się w kapliczce gorąco modliła.

W kilka tygodni, odebrał stolnik dopiéro list od Tadeusza w którym, przepraszając go za tak długie milczenie, z powodu choroby matki, donosił, że wyszła już z niebezpieczeństwa, ale osłabiona niepowstaje jeszcze z łoża, że ta jéj niemoc, zatrzymuje go w Warszawie na długo. W końcu załączając ukłon p. Bartoszowi i Zaleskiemu dodał przypisek do Hanny. Stolnik odczytawszy cały list uważnie: przywołał prawnuczkę i kazał jéj głośno cały list przeczytać. Z rumieńcem na twarzy, z bijącym sercem spełniło dziewczę rozkaz starca, ale zacięła się nagle na owym przypisku.

— No! kończ waszeć panuleńku moja Hanulku daléj.

— «Przypominam się łaskawéj pamięci dobréj panny Hanny, moja matka zasyła jéj swoje pozdrowienie i błogosławieństwo. Zna ją tak dobrze z mego opisu, jakby widziała i była wraz z nami: jéj obraz zawsze przytomny sercu memu i myśli, niczem zatrzeć się nie może.»

Hanna na te słowa, spuściła oczęta, a gdy stolnik zaczął się śmiać serdecznie, gdy i mrukliwy Bartosz, zawtórował ojcu, dziewczę, z listem uciekło do ogrodu, nie zważając na wiatr zimny jesienny.

Wraz ze świętym Marcinem i gęsią pieczoną na stole, wedle zwyczaju zastawioną: upadł śnieg gęsty, a chociaż małe przymrozki, ustaliły sanną w końcu Listopada. W Grudniu nie zwykłe uderzyły zimna, mróz do dziesięciu dochodził stopni.

W Warszawie przy ulicy *alei* w skromnym drewnianym na uboczy domku, światło od kominka bijące łuną w małe okienka, świadczyło: że w nim mrozu nieobawiano się wcale. W wielkim krześle w pobliżu kominka, siedziała blada i słaba matrona, lat koło 50 licząca. Rysy jéj regularne wskazywały widomie wdzięki młodości, którymi niegdyś słynęła. Z miłością spoglądała na syna, który obok siedząc z książką w ręku, opowiadał o pobycie swoim w Zagajborskim dworze, i właśnie kończył powieść o *Czerwonym zamku.* Była to matka Tadeusza Nekandy, wdowa po znanym z dzielności pułkowniku.

— Smutna to powieść, mówiła pułkownikowa, aleś ty z Handzią lepiéj podsłuchał rotmistrza, kiedy śpiewał o swéj Elżbiecie z San-Domingo?

Tadeusz, przykląkł u nóg matki, i złożył gło-

wę na jéj kolanach, a pułkownikowa, całując go z uczuciem mówiła:

— Ja moje dziecko, nic nie mam przeciw twéj myśli. Widzisz jak mnie pan Bóg pokrzepił, dziś czuję się tak zdrową jak nigdy: czasem sił zabraknie, ale to zwyczajnie po tak długiéj chorobie. Jutro mam przejechać trochę, to sił nabędę: a ty pisz do stolnika, ja sama do Hanulki napiszę.

Tadeusz nieposiadał się z radości, i nazajutrz listy te odesłał na pocztę. W parę tygodni, gdy ślad choroby zniknął prawie z oblicza pułkownikowéj, a słaby rumieniec zaczął je krasić nieco: pod wieczór, w tę właśnie porę, kiedy przy sutym ogniu kominka, zasiedli razem i Tadeusz zaczął czytać powieść Godebskiego: *Grenadjer-filozof:* zadzwoniły dzwonki, i ogromne kryte sanie zaprzężone w cztery dzielne konie w krakowskich chomątach, stanęły przed małem ganeczkiem domu.

Tadeusz wybiegł do sionki: jakież było jego zadziwienie, gdy ujrzał rotmistrza Bartosza, który go serdecznie powitał.

— Przybyłem do Warszawy za interasami: ot i do was zajechałem. Wiem że pułkownikowa

zdrowa: ja się z waścią pomieszczę, bo stary żołnierz nie wiele potrzebuje.

— A proszę, proszę pana rotmistrza dobrodzieja. Ah! cóż to za szczęście dla mnie, dla mojéj matki!

Rotmistrz tym czasem zrzucił futro, i ogromne buty, otarł wąsy z zamrozu, i wszedł do pokoju uradowany serdecznym przyjęciem.

Po powitaniu, jako dobrze znajomy pułkownikowéj, gdy zabawiali się rozmową: Tadeusz, kazał na podwórko zajechać saniom: Walka wyściskał, konie wygodnie w stajence pomieszczono.

— Proszę panicza, rzekł Walek, a gdzie ja rzeczy i pakunki złożę, bo to tu i pan stolnik, i pan rotmistrz, i panna, i obie gospodynie, i pan Jażdonowski ponasyłali kupa gościnców.

— Dobrze! dobrze! mój Walku, odrzekł nieposiadający się z radości Tadeusz, zaraz ci przyszlę naszego Pawła, i służąca pomoże.

Jakoż wkrótce, pokój jadalny był owemi gościńcami cały zawalony. Sarna i dzik, zające i dzikie ptastwo, były dary stolnika i rotmistrza. Miód od Jażdonowskiego, od gospodyń, pani Maciejowéj i Andrzejowéj: bity drób domowy tuczony, oraz

mąki i kaszki różne, a przytem wieprz karmny zabity: od panny Hanny osobne pudełko, pełne wybornych konfitur i soków owocowych, które własną ręką smażyła. Rotmistrz, doręczył pułkownikowéj list stolnika, w którym wymawiając się podeszłym wiekiem, zapraszał ją na święta Bożego-Narodzenia, wraz z synem do Zagajborskiego dworu: Hanna w liście swoim popierała jak najsilniéj tę prośbę pradziadka, donosząc że pokoje są już gotowe równie jak i serca wszystkich na jéj przyjęcie.

Rotmistrz załatwiwszy się w mieście, przynaglił prawie prośbami, że pułkownikowa przyrzekła nazajutrz być gotową do wyjazdu. Tadeusz z radości oka zamrużyć niemógł, i zaledwie po północy zasnął.

W sobotę, przed świętami Bożego Narodzenia, skoro tylko dzionek zajaśniał, zasiadła pułkownikowa z rotmistrzem i Tadeuszem zlecając Pawłowi, staremu wojakowi czuwanie nad bezpieczeństwem opuszczonego dworku. Na pół drogi, przeprzężono świeże konie, a po wybornéj sannie, ani spostrzeżono, jak przebiegli przy wesołéj rozmowie 10 mil mazowieckich. Nad wieczorem wjechano w puszczę, na trakt wiodący do Zagajbor-

skiego dworu. Z jakże bijącem sercem wyglądał Tadeusz, czy prędko ujrzy bramę murowaną. Nagle na małym zakręcie lekko krzyknął, bo ujrzał łunę jakby pożaru.

Stolnik po staropolsku przyjmując oczekiwanych gości, kazał na bramie wjazdowéj zapalić sześć pochodni, a na fossach dawnych, beczki ze smołą. Wieczór ciemny, i białość śniegu, podnosiły blask rzucany jeszcze więcéj. Stary Kuba w ciemię nie bity, zrozumiał jak mili goście wjeżdżają do dworu, to też zdala; gdy ujrzał sanki rotmistrza, a miał wzrok sokoli, gdy dosłyszał głośne dzwonki sanek, palnął na wiwat ze staréj śmigowicy, i z całéj siły zaczął trąbić z wieży bramowéj. Na to hasło, zbiegło się grono całe domowników, i gdy most zwodzony zadudniał, oświecono wielką sień we dworze: wszystkie okna uderzyły blaskiem niezwykłym jarzęcego światła. Zaledwie sanie stanęły przed gankiem i rotmistrz wysiadł, Jażdonowski pomimo oporu porwał pułkownikowę na ręce, i wniósł na schódki, aby nóg nie zamoczyła. W sieni oczekiwała opromieniona radością Hanna, i powitała serdecznie gości przybyłych. W pierwszym pokoju, stał stolnik oparty na swoim czekanie. Ta-

deusz wyprzedziwszy matkę, na widok stuletniego starca, z jaką radością ich przyjmuje, rzucił mu się plackiem do nóg z głębokiem wzruszeniem.

— Co waszeć robi kochany Tadeuszku? a to widzi panuleńku kochana pułkownikowa, że nawet nie mogę dosięgnąć jéj rączki abym pocałował. No! puść mnie chłopcze, bo należy ci się powitać i z Handzią, bo ona tęskniła i bardzo.... za dziaduniem rotmistrzem, a państwo go trzymali tak długo.

Hanna przeprowadziła pułkownikowę do jéj pokojów, ażeby chwilę spoczęła, i przebrała się nieco. Zachwycona była zacna niewiasta i przyjęciem tak serdecznem, i ładem i porządkiem jaki zastała w przeznaczonym sobie mieszkaniu.

— Znać tu rękę rządnéj gosposi, mówiła do młodego dziewczęcia zrzucając futrzanę okrywkę, i patrząc z miłością na piękną i urodną Hannę. Moje dziecię, moja kochana Hanulku, bo pozwolisz że cię tak nazwę, nie mam słów na podziękowanie ci za twoje listy pełne uczucia, za pamięć jaką miałeś dla biednéj wdowy, i mojego Tadeuszka.

Hanna w objęciach pułkownikowéj zapłakała

rzewnie, ale były to łzy wielkiéj radości i wielkiego szczęścia.

Suta wieczerza, oczekiwała już naszych gości. Wszyscy domownicy, przybrani jakby w święto, oczekiwali wraz z stolnikiem i rotmistrzem przybycia pułkownikowéj. Pierwsze miejsce u stołu przeznaczono dla niéj: obok usiedli dwaj starcy. Tadeusz przy Hannie, a za niemi wieńcem domownicy. Stolnik wzniósł puszczowym miodem naprzód zdrowie pułkownikowéj, następnie Tadeuszka, w końcu syna rotmistrza, chwaląc że tak dzielnie się sprawił, i do niewoli wziął oboje.

— Bo ja was panuleńku, mościa pułkownikowa wraz z synem zabieram w jassyr: od dziś uważam za brańców, mówił starzec rozgrzany nieco wiekowym miodem. Były tu osóbki co bardzo tęskniły za kimsiś panuleńku, a pradziadek widział jak taka osóbka w kąciku to stała zadumana, to płakała i fartuszkiem oczka ocierała. Ale teraz precz smutki o ziemię! Niech no zaczną się zapusty, to ja panuleńku sam zamawiam sobie szanowną pułkownikowę w pierwszą parę, a jak się rozhulam, to i daléj w przysiudy, po naszemu Bar-

toszku! Rotmistrz, smutnie pokiwał głową, a potém odrzekł z uśmiechem.

— Skoro jegomość pójdzie w prysiudy, to i ja wyskoczę kozaczka, i dalibóg pójdę naszego *wyrwasa* na *odsibkę* a żwawo!

Długo dnia tego trwała kolacya, i stolnik wbrew zwyczajowi o jedenastéj dopiero w nocy udał się na spoczynek.

Odtąd dzień po dniu ubiegał wszystkim niepostrzeżenie w pośród radości wszystkich. Zbliżyła się wreszcie wigilia Bożego Narodzenia. Pułkownikowa z Hanną zabierały się do jéj urządzenia, ale obie gosposie panie Maciejowa i Andrzejowa, ani im myśleć otym nie dały. Pułkownikowéj niedopuszczono jako gościa i nie dawno powstałéj z choroby, a pani Maciejowa szepnęła pannie na ucho.

—Czy to niema panuleńku roboty żeby bawić gości: to cóż będzie robił pan Tadeusz na taką śnieżną zamieć, jak panuleńka pójdzie na cały dzień do kuchni, to biedne paniczysko zanudzi się na śmierć.

Hanna, niby się podąsała trochę, ale w duszy rada była téj przestrodze doświadczonéj gospodyni.

Nadszedł dzień tak uroczyście obchodzony w całéj Polsce, wigilia Bożego Narodzenia. W dworze

Zagajborskim, jadalną komnatę przystrojono, wedle staropolskiego obyczaju, który święcie zachowywał stolnik. Że sufit belkowany był z modrzewia, przystrojono go w kłosy wszelkiego zboża, i w powite wieńce zielonego siana. W każdym rogu komnaty, stały snopy pszenicy, żyta, owsu, i jęczmienia. Nad środkiem stołu, zawieszona była gwiazdka z opłatków, kształtnie ulepiona, nad którą, przyświecała różno kolorowa latarka. Stół cały zasłany był grubo sianem. Ogromne srebrne świeczniki, każdy po 12cie świec jarzęcych obejmujący, przystrajały go, wraz z kwiatami w doniczkach, hodowanych troskliwą ręką Hanny.

Na pochmurnem niebie zapowiadającym śnieżycę, długo oczekiwana gwiazda zajaśniała, dając swym bladym światłem hasło, wiernemu ludowi, ażeby przystępował do obchodu uroczystego, na pamiątkę narodzenia Zbawiciela. Stolnik pomimo to, niedawał znaku do wigilii, jakby oczekiwał na czyjeś jeszcze przybycie. Jakoż niedługo, cicho zadzwoniły sanki przed gankiem dworu, z których wysiadł ksiądz *Mateusz* proboszcz parafii, wraz z organistą i małym chłopcem, w sieni przywdział

komżę, i na trzy głosy zabrzmiała pieśń jeszcze sięgająca piastowskich wieków:

„W żłobie leży.— któż pobieży
Kolędować małemu,
Jezusowi Chrystusowi
Dziś nam narodzonemu."

Stolnik z pułkownikową, rotmistrzem, z Hanną i Tadeuszem, w gronie domowników, stanęli w pierwszym pokoju, powitać zacnego kapłana, który po odśpiewaniu kolendy, wszedł z powinszowaniem, organista niósł opłatki, a małe chłopię najlepszy uczeń z wiejskiéj szkółki, którą się opiekował dwór Zagajborski, z Ewangielią w ręku, odczytał z niéj naprzód stosowny ustęp, a następnie gładką wypowiedział oracyą.

Zaproszono księdza proboszcza wraz z organistą i pacholęciem do stołu, przy którym po połamaniu się opłatkiem z życzeniem *dosiego roku*, wszyscy zasiedli.

Stolnik zajęty rozmową z pułkownikową, nie uważał że jedno miejsce było próżne, które obie gosposie pani Maciejowa i Andrzejowa starannie osłaniały. Zaledwie wniesiono w dwóch wazach,

zupy: winną polewkę i zupę migdałową, kiedy z podwórza uderzył o okna jadalnéj komnaty, jakiś dziwny rozgłos, który coraz wyraźniejszym się stawał aż zagrzmiał z całą siłą w sieni dworu.

Stolnik dał znak milczenia: natężył ucho, a po chwili zerwawszy się na nogi, krzyknął w najwyższéj radości.

— Panuleńku! przez Bóg miły! to nasi dudziarze mazowieccy, to marsz panuleńku kurpiowski, gdy szli memu rodzicowi na odsiecz! panuleńku! panuleńku! wracają siły młode! Dajcie szabli i szturmaka, hajda na czerwonych djabłów! wołał starzec w uniesieniu.

Trzech kobziarzy, biegłych grajków, zgodnie wygrywali starego marsza: jeden z nich głównie prym trzymał, dwaj wtórowali w przerwach, to razem łączyli się jakby w chór jeden. Takt był z początku powolny, jak zwyczajnego marsza, następnie wraz szedł spieszniejszy, aż w końcu, kończył się jakby wrzawą wojenną okrzykiem; zwycięzkim. Ucichły kobzy, a głos męzki, czysty a silny, zaczął pieśń kolendy mysliwskiéj, stolnik który stał ciągle z wyciągniętą prawą ręką jakby dowodził zbrojnym hufcóm, wykrzyknął radośnie.

—Panuleńku! to nasz Jacuś! i zaczął sam drżącym ze wzruszenia głosem spiewać na tęż nutę staroświecką piosnkę.

„Otwierajcież wrota,
Bo tu jest ochota."

We drzwiach ukazał się Jacek Jażdonowski, a za nim trzech kurpików dudarzy. Niosł on trzy żywe małe wilczęta, mając na barkach zarzuconą skórę wilczą odartą dnia tego z zabitego wilka. Stanąwszy na środku komnaty, skłonił się, i zaczął deklamować oracyę kolędową: ale w połowie, gdy dosłyszał słowa stolnika: »Mój poczciwy Jacuś, niech mu Bóg da panuleńku niebo. Tak się zaciął, że wyrzekłszy swoje zwyczajne tandem tedy." Przybiegł do sędziwego starca, z załzawionymi oczyma, przyklęknął, a złożywszy na jego kolanach tłuste wilczki, więcéj słowa wyrzec niemógł. Stolnik ucałował go w głowę, kazał zająć właściwe miejsce: Rotmistrz, usadził przy tymże stole trzech kobziarzy, schludnie przybranych.

Trzymając się starodawnego zwyczaju, szły potrawy przywiązane do wigilii. Szczupak z szafranem, to z chrzanem, i po żydowsku, karp' na

szaro, smażone liny z kapustą, słynne *ostrołęckie* węgorze, wreszcie kluski z makiem, i bakalie z owocami. Stary wytrawny węgrzyn pierwsze obok starego miodu zajmował miejsce: bo Polacy, chociaż kochali Francuzów, ale nielubili ich wina. W dzbanach polewanych piwo wystałe było smacznym i zdrowym napojem.

Stolnik po wniesieniu naprzód zdrowia księdza Mateusza proboszcza, któremu należało się pierwszeństwo, jako słudze swiętego ołtarza, pił następnie pułkownikowéj, daléj obecnych gości przy stole wigilijnym: w końcu nalawszy czarkę miodem zawołał:

A teraz panuleńku, mościwi panowie i panie! piję zdrowie naszego domu przyjaciela wiernego, Jacka Jażdonowskiego, który nam dzisiaj tak sercową radość sprawił. Niech żyje wraz z naszymi dudarzami. Wszyscy z okrzykiem radośnym wznieśli to zdrowie. Jacek stał zaczerwieniony, tylko kłaniał się i mówił: Tandem tedy! tandem tedy!

Późno wstano od wigilii: Kobziarze musieli powtórzyć ulubionego marsza stolnika, który w radości wypił raz jeszcze ich zdrowie, za nim udał

się na swój spoczynek. Biła 12-ta z północy, kiedy gwar wesoły zaczął ucichać w Zagajborskim dworze. Proboszcz, który rano wyjechawszy do kościoła parafialnego i odprawiwszy nabożeństwo, wcześnie wrócił, miał mszę świętą w kaplicy dworskiéj, i już pozostał na całe święta. Dawny, z czasów rzeczypospolitéj wojak, następnie rolnik, po utracie ukochanéj żony i kilkorga dzieci, przywdział szatę zakonną, a jako krewniak daleki stolnika, otrzymał ksiądz Mateusz, w dobrach zagajborskich probóstwo. Odtąd zjeżdżał co niedzielą i święto, ażeby w kaplicy dworskiéj odprawiać nabożeństwo dla stolnika, jego rodziny i domowników: bo starzec ten jakkolwiek krzepki, w jesiennéj i zimowéj porze, już niemógł wyjezdżać do kościoła. To też sam mawiał o sobie że podobny jest do niedźwiedzia, co zasypia w twardéj jesieni i niebudzi się aż ze słońcem wiosny, kiedy się ziemia umai. Zebrane grono w Zagajborskim dworze, mile i wesoło przepędzało święta Bożego narodzenia. Stolnik upatrzywszy stosowną porę, długą miał naradę z pułkownikową, do któréj wezwał następnie syna i księdza proboszcza. Zacna niewiasta, opromieniona radością, całowała i pieściła z załzawio-

nemi oczyma Hannę, która starała się odwdzięczyć za te oznaki tak drogie jéj sercu.

Rano w dzień trzech króli, kiedy już pani Maciejowa w wielkim sekrecie upiekła ogromny placek z migdałem, przyzwała pułkownikowa syna i rzekła.

Nikomu tu nie jest tajemnicą, że kochasz Hanulkę, i że ci jest wzajemną. Idź do pana rotmistrza, i proś go, aby się stolnikowi jako najstarszéj głowie rodziny oswiadczył, prosząc o jéj rękę. Dziś jeszcze odbędą się wasze zaręczyny, a przed *ostatkami* i wasze wesele.

Tadeusz słuchał matki jakby odurzony: niechciał wierzyć temu co słyszał, brał to za senne marzenie, z którego pragnął się rozbudzić, ażeby przekonał się o prawdzie. Radość jego była nieokreślona, kiedy rotmistrz mu potwierdził słowa matki.

Po mszy świętéj, w wielkiéj sali przybrany w kontusz granatowy z żółtymi wyłogami i żupan perłowy, zasiadł stolnik obok pułkownikowéj, otoczony gronem domowników. Ksiądz Mateusz, w komży, przy nim organista z kropidłem w ręku, i pacholę małe ze święconą wodą. Hanna klęczała

u nóg pradziadka, tuląc główkę na kolanach starca, który wzruszony, żegnał ją krzyżem świętym i całował z rozrzewnieniem.

Nagle drzwi się z trzaskiem od bocznéj roztwarły alkowy, i wszedł pierwszy Jażdonowski przybrany w kontusz zielony z ponsowymi wyłogami, barwy sukmany mazowieckiéj, niosąc na tacy srebrnéj dwa pierścionki, za nim poważny rotmistrz w mundurze legjonisty, z dwoma krzyżami legii honorowéj i polskiego *virtuti militari*, wiodąc za rękę blednącego to rumieniącego się na przemian Tadeusza.

Przed poważnym stolnikiem, pochylił siwą głowę kornie, i oświadczał młodzieńca, w imieniu ojca co mężną śmiercią poległ pod murami *Saragossy*, prosząc o rękę prawnuczki.

— Staje tu, jako swat w imieniu mego dzielnego towarzysza broni, co na obcéj i dalekiéj ziemi, walcząc w nadziei dla téj miłéj ojczyzny naszéj, złożył kości swoje, nie obok ojców i pradziadów własnych. Żyliśmy z sobą jak bracia, z afektem też braterskim, wziąwszy w opiekę jego syna, za dozwoleniem szanownéj tu obecnéj pułkownikowéj, pragnę gorąco jego życzenia spełnić, pewni oba-

dwa, że nasza wnuka nie odmówi swéj ręki, jak nieodmówiła serca. Stolnik stojąc wraz z pułkownikową, która na wspomnienie ukochanego męża, gorzkiemi zalała się łzami, wysłuchawszy całéj przedmowy rotmistrza, dał swe zezwolenie; zapytana Hanna, czy kocha Tadeusza, z rumieńcem dziewiczego wstydu rzuciwszy się w objęcia pułkownikowéj zcicha wyrzekła: *kocham!* poczem ksiądz Mateusz, poswięcił pierścionki, i włożył ną ręce zaręczonéj pary.

Stolnik dał znak, roztwarto podwoje od jadalnéj komnaty, gdzie zaprosiwszy na obiad obecnych, podał rękę i poprowadził pułkownikowę w pierwszą parę, wiodąc obok siebie proboszcza. Tu przy stole, uroczyście przystrojonym, zasadzono Hannę z Tadeuszem na pierwszym miejscu. Pani Andrzejowa postawiła przed niemi doniczkę rozmarynu, a Maciejowa rozkwitłą różę. Stolnik z rotmistrzem w ręce księdza Mateusza wznosili zdrowie młodych narzeczonych, pułkownikowéj, wreszcie staropolskie *kochajmy się!* Kiedy po skończonym obiedzie, prześli wszyscy do ulubionéj niebieskiéj komnaty, gdzie zwykle przesiadywano: Stolnik coś szepnął na ucho Hannie, która wybiegła do sy-

pialni pradziadka, i wkrótce stanęła we drzwiach, dzwigając ogromną księgę w obu rękach. Była to księga rodzinnego *silva-rerum* z któréj wiele podań Tadeusz wyczytał. Stolnik odebrawszy ją przerzucił w kilku miejscach, podumał chwilę a potém zwracając się do Tadeusza wyrzekł.

— Znasz już dobrze ten dyarjusz od trzystu lat z górą pisany przez rodzinę naszą. Ja panuleńku nad grobem, niemam już co do tego silva-rerum wpisywać. Bartoszek, co uznał za godne ze swych wspomnień, to już zapisał. Znajdziesz tu nie jednę kartę zlaną łzami naszymi, przy niedoli krajowéj, przy smutku i żałobie domowéj. Ja płakałem zapisując datę smierci mojéj Kasi, rotmistrz gdy stracił żonę i córkę. Zdaję ci te *silva-rerum* teraz jako wchodzącemu do rodziny naszéj, która zgasła po mieczu, żyje słabo po kądzieli, bo to obu nas, jedyna gałązka z bujnego prawych mazurów szczepu. Szanuj, kochaj go i pielęgnuj, tak jak my chuchali na ten wątły panuleńku kwiatek.

To mówiąc załzawiony starzec, objął głowę Hanny, i z rozrzewnieniem ucałował.

— Niedługie panuleńku tegoroczne zapusty, trze-

ba z weselem pospieszyć, bo i ja chciałbym do téj pory dożyć, i jeszcze z pułkownikową wyskoczyć panuleńku w taniec (przy tych słowach powstał, i pocałował w rękę siedzącą obok siebie matronę). Wyprawę ma Hanulka od dawna gotową, co braknie, to się tym pani maciejowa zajmie, a zresztą Bartoszka w tym głowa.

Wesoło dzień przeszedł, przy wieczerzy, wniesiono ogromny kołacz, a pani Maciejowa tak zręcznie go pokrajała i rozdzieliła, że migdał dostał się Hannie, i ona okrzykniętą zastała królową! Radość była powszechna, zażądano od młodéj monarchini, aby oznaczyła dzień uroczystości, w którym wszystkich hojnie podejmować musi. Za zgodą więc stolnika, wybrano dzień ślubu, który miał się odbyć w sobotę przed ostatkami, i połączyć razem dwie te uroczystości.

Jażdonowski, od świtu do nocy, uprzątał staroświecką salę, oczyścił gobeliny broń i zbroję, i obrazy wiszące na ścianach staréj rodziny Jarzynów. Pułkownikowa z Hanną zajęły się przystrojeniem kaplicy. Pani Maciejowa wróciła tymczasem z Warszawy uzupełniwszy wyprawę. Stolnik zaprosił grono bliższych sąsiadów i przyjacioł. Zaleski przy-

był z żoną i czworgiem doroślejszej dziatwy. Nadszedł dzień sobotni, oznaczony. Przed mszą rano Tadeusz z Hanną odbyli w kaplicy spowiedź, i kommunię z rąk proboszcza przyjęli.

Po sutym śniadaniu, około południa ukazała się w wielkiej sali, prowadzona przez pułkownikowę śliczna jak kwiat Hanna: w białej sukni, z białym welonem i wieńcem mirtowym mając obok siebie Tadeusza.

Stolnik przybrany w kontusz województwa mazowieckiego, siedział w wielkiem krześle, obok stał w mundurze legjonisty, syn jego. Narzeczeni oboje, gdy pułkownikowa zajęła miejsce przy stolniku, upadli starcowi do nóg, a następnie rotmistrzowi, i pułkownikowéj. Po otrzymanym błogosławieństwie, roztwarto podwoje od kaplicy, rzęsisto oświeconéj, i wspaniale przybranéj. Przy ołtarzu stał ksiądz Mateusz uroczyście przybrany. Przemówił prostymi słowy, ale z serca, zacny, świątobliwy kapłan, i połączył wieczystym węzłem kochającą się parę.

Z przepychem staropolskim, były zastawione stoły: na środku stał wielki kołacz, suto przybrany w cukry i konfitury, z cyframi T. H. Uczta,

przy doborze potraw, wybornie sporządzonych, była tryumfem obu gospodyń, pani Maciejowéj i Andrzejowéj, z pomocą starego kucharza Andrzeja, co lat już czterdzieści wierną i gorliwą odznaczał się służbą. Stary Kuba, most zwodzony podniosłszy w bramie, kiedy dosłyszał okrzyk wiwatowy, dawał ognia ze szmigownicy i otrębywał każde wznoszone zdrowie.

Wieczór już był późny, kiedy skończyła się uczta, i państwo młodzi z gośćmi przeszli do wielkiéj sali. Na marmurowym kominie palił się z kłód dębowych i pni sosnowych potężny ogień, gęste świeczniki w ścianach, jarzęcym światłem, rozświecały jasno ogromną komnatę. Dawne zbroje, i broń rozwieszona, odbijały wspaniale i ozdobnie, od przepysznych gobelinów, i obrazów poważnych postaci rycerskich.

Zaledwie grono gości zasiadło w téj sali, zabrzmiała huczna kapela, sprowadzona z Warszawy. Był to polonez, którego nuta ukochana, i zespolona z sercem każdego, wstrząsała silnie, i nieraz łzę dobywała z oka.

Stolnik powstał, a oddawszy poważny ukłon przed pułkownikową, podał jéj rękę, i posunął

w pierwszą parę. Przy wyniosłéj i wyprostowanéj niezwykle postaci starca, nikła choć dobrego wzrostu pułkownikowa.

Stolnik dnia tego, trzymając się dawnego obyczaju, przypasał karabelę z rękojescią bogato kamieniami wysadzaną, na któréj zwieszał czapkę aksamitną białą, tejże barwy jak żupan.

Stanęło do poloneza do czterdziestu par razem. Stolnik po staropolsku, niemiał rękawiczek, ale podaną rękę pułkownikowéj, położył na czapce swojéj i tak wiódł w taniec.

Stuletni starzec, jakby odmłodniał, tak był rzeźwy i krzepki. Postać cała wyprostowana, dodawała szczególnéj powagi, przy pięknym polskim stroju. Oblicze jakkolwiek opromienione niezwykłą radością, nosiło w bladości ślad wieku, któréj nie zmniejszał rumieniec, wzruszeniami serca dobyty. Obszedłszy salę poważnym w takt kołem, zwrócił się na lewo, i przystanął przed drzewem genealogicznem rodu Jarzynów, popatrzył nań chwilę, rzucił oczyma na portrety antenatów, na rozwieszone starożytne zbroje, i nagle opuścił głowę na piersi, z których bolesne dodyło się westchnienie. Ale nuta poloneza otrzeźwiła go z téj smutnéj za-

dumki, skłonił głowę, a obszedłszy raz jeszcze salę, odprowadziwszy tanecznicę swoję na miejsce, usiadł obok, zmęczony niezwykłém utrudzeniem. Przy oczepinach panny młodéj, gdy zabrzmiała kapella starą piosnkę *o chmielu*, a chór radośny gości zawtórował, stolnik jakby ze snu zbudzony, ochoczo wyśpiewywał piosenkę, nuconą i na jego weselu. O północy, pożegnawszy skrycie pułkownikowę, wyszedł do swéj sypialni, gdzie legł wkrótce snem twardym, chociaż dwór Zagajborski, grzmiał wrzawą wesołą pieśni, i muzyki, a stary Kuba dał dwa razy jeszcze ognia ze śmigownicy, raz przy ukończeniu oczepin, drugi raz, przy cukrowéj kolacyi, gdy wniesiono ostatni wiwat na cześć państwa młodych!

Nazajutrz, młoda pani Tadeuszowa, zatrzymała wszystkich gości na ostatki, obchodząc podwójną uroczystość i wesela, i jako *królowa migdałowa*. Serdeczne staropolskiéj gościnności przyjęcie, i podejmowanie, wszystkich z chęcią zatrzymało we dworze Stolnika. Każdy bowiem czuł się swobodnym, jak w domu, widział wszędzie przychylne i wesołe oblicze: domownicy na wyścigi ubiegali się w usługach każdemu. Nie dziwo-

ta, że każdy potém zachował długo w pamięci taki pobyt radośny, i do najmilszych chwil liczył.

W ostatni wtorek, gdy wsród tańców ochoczego mazura zegar uderzył dwunastą: wszyscy stanęli nieruchomie, kapela ucichła: a Jażdonowski wszedłszy z długim kijem na końcu którego był śledź wędzony zawieszony, silnym głosem zawołał: „Skończyły się mięsopusty, post święty się zaczął," i zaprosił na wieczerzę postną. Po nabożeństwie *w popielec*, i posypaniu głów popiołem przez księdza Mateusza, wszyscy goście, rozjechali się przed południem, a dwór Zagajborski, zaległa dawna cisza i spokoj.

XV.

Z wiosną półkownikowa, z dziećmi na dni kilka wyjechała do Warszawy, ażeby urządzić swój domek; pani Andrzejowa, która pragnęła osiedlić się od dawna w stolicy, gdyż tu miała blizkich kre-

wnych, zamieszkała w nim i objęła cały zarząd. Stolnik, któremu ten tydzień niebytności pułkownikowéj i młodych małżonków, wydawał się wiekiem, co dzień z tęsknotą wyglądał niecierpliwie ich powrotu. Kiedy spodziewał się w dniu oznaczonym ich przyjazdu, kazał się zaprowadzić na wieżę bramną i tu rozmawiając ze starym Kubą, wyglądał co chwilę przez zakratowane okno. Strażnik z bystrym wzrokiem, pierwszy na gościńcu ujrzał powóz i krzyknął: »*już jadą.*" Zbiegł na wał, i dał ognia ze śmigownicy, gdy stolnik na trąbce myśliwskiéj zagrzmiał *pojezdnego!*

— Panuleńku! mówił starzec, ściskając po kolei przybyłych: już ja was więcéj nie puszczę od siebie. A toć to mi panuleńku, było tak tęskno, żem spokojnego znaleźć niemógł kącika dla siebie. Gdzie pójdę cicho: ani głosu Hanulki, ani Tadeuszka, ani kochanéj pułkownikowéj. I. Bartoszek osowiał, słowa trudno było dobyć z niego panuleńku. Usiądę sobie pod lipą, to i zasnąć nie mogę, bo nie słyszę panuleńku gwaru miłych głosów.

Powiedziałem więc sobie, oho! panuleńku! już żadnego z nas niepuszczę! Kuba stary ma rozkaz,

zaraz zamknąć bramę, jakby które śmiało wyjechać, i mnie panuleńku opuścić.

Rotmistrz uradował się także wielce z ich powrotu, rozchmurzył czoło, i co było osobliwością dla stolnika, na prośbę pułkownikowéj, zaspiewał przy wtórze gitary, pieśń z San-Domingo, o pięknéj Elżbiecie.

Starzy Polacy, mieli piękne wyrażenie, na określenie życia pełnego swobody, pokoju i szczęścia, że dola się wiedzie: »*jakby wianki wił.*" Tak też w Zagajborskim dworze, upływał wesoło, sercowo, każdy dzień wiosny, lata, i grubéj jesieni. Chwila była troski, gdy zasłabła Hanna, ale wkrótce radość napełniła wszystkich, gdy powiła zdrowego i czerstwego chłopca, pra-prawnuka stolnika. Starzec w gorącéj modlitwie dziękował Bogu, że doczekał tak szczęśliwéj dla siebie a niespodziewanéj chwili, i odtąd do niebieskiéj komnaty, kazawszy wnieść kołyskę z dzieciną, nieraz sam kołysał, i nócił mu dawne piosenki. Rotmistrz, często spoglądał na slicznę pacholę, i nieraz gdy zdrzymnął się stolnik, sam także kołysał.

W zimowéj strasznéj zamieci gdy wichura przeraźliwie poświstywała, i wcześniéj mrok wieczorny

zapadł; Stolnik kazawszy oświecić wielką salę, i ogień rozniecić na marmurowym kominie, polecił zarazem z kołyską i dziecinę przenieść. Wszyscy zdziwili się ujrzawszy suto oświeconą kaplicę, i księdza Mateusza gotowego do obrzędu chrztu świętego. Jakoż starzec przeprosiwszy za tę niespodziankę, rzekł do młodych rodziców dzieciny.

— Mnie panuleńku trzeba się śpieszyć, bo wiek ciśnie, i ziemia ciągnie k' sobie. Owoż z pułkownikową ja w pierwszą parę, a Jażdonowski z panią Maciejową będziem do chrztu trzymali kochanego Jasia, oby Bóg zachował go długo w zdrowiu, na pociechę téj miłéj naszéj ojczyzny i nas wszystkich.

Zbiegli się domownicy wszyscy, a gdy spełniono obrzęd święty, wichura przerazliwie poswistywała, a szum drzew łączył się z nią w burzę zimową. Stolnik oddał ochrzczone pachołę matce, gdy zaczęło płakać rzewnie.

— Panuleńku, moja Hanulku, dobry to znak że płacze, bo będzie zdrów i krzepak; a was niech panuleńku nieprzeraża ta burza, co tak wyje na podwórzu, przypomnijcie sobie panuleńku straszliwą letnią burzę na zamku *Oleskim*, kiedy się ro-

dził Jan Sobieski. Służba i dworscy ogłuchli od bicia piorunów, a dziecię wyrosło w bohatera, i pogromcę panuleńku pogan, a sławą imienia jego brzmiała cała Europa! Teraz już ochrzczonego Jasia wniesiem do sali, niech jak się uspokoi, przypatrzy się rozwieszonéj w niéj zbroi i tym portretom antenatów swoich: ale wniesiem go staropolskim obyczajem na szablach, jako wnuczę rycerskiéj szlachty. Na dany znak Jażdonowski podał stolnikowi dobytą karabelę, sam podłożył na krzyż drugą: i na nich przenieśli obaj dziecinę do kołyski, która w rzewnym płaczu, gdy szable dobyto, utuliła się do razu, i z uśmiechem poglądało.

— Panuleńku! mówił z uśmiechem radośnym starzec patrząc z miłością na rozkwitłe rumieńcem niemowlę: jak to znać dziecko rycerskiego plemienia. Płakało, panuleńku, aż je błysk szabli utulił! O kochaj Boga! kochaj tę ziemię rodzinną panuleńku, i tę szablę co broni i jedno i drugie.

Burza i zamieć powoli ucichały, około dziesiątéj wieczorem, zniknęły ciemne śniegowe chmury,

mróz zaiskrzył, a przy nim tysiące gwiazd zajaśniało na pogodném niebie.

Wczesna i ciepła wiosna 1818 r., dozwoliła stolnikowi przechadzek po ogrodzie, i spoczynku pod ulubioną lipą, która się cudnie zielonym przyodziała liściem. Tam gdy zasiadł, kazał zaraz niańce przynosić kołyskę z praprawnukiem, osłaniał go od wiatru i cugu i czuwał nad nim. W maju zasłabł: parę dni niemógł z łoża powstać, ale później się pokrzepił i przy pomocy Jażdonowskiego, zasiadł swoje miejsce pod lipą, pułkownikowa równie jak rotmistrz, Tadeusz i Hanna, dojrzeli widocznie zmianę na jego obliczu. Oczy choć dawnego blasku nie straciły, zapadły, policzki więcéj zbladły i zżółkły jak pargamin: usta mocno posiniały. Cała postać się pochyliła, ręce drżały, i dreszcz go często przejmował.

Kiedy przybył ksiądz Mateusz dla odprawienia nabożeństwa, po mszy świętéj, starzec przywołał go do swéj komnaty sypialnéj, a zasunąwszy drzwi

na klucz: przemówił drżącym od wzruszenia głosem.

— Mój Mateuszku! nie długo mi panuleńku życia: jutro przybądź, bo chcę się wyspowiadać, przyjąć ciało i krew pana naszego Jezusa Chrystusa, abym był gotów panuleńku w daleką drogę. Tymczasem pomówiemy o ziemskich interesach. Owoż składam opieczętowany mój testament za zgodą mego syna pana rotmistrza spisany. Chciałem go u niego zostawić, ale sam Bartoszek prosił, aby oddać na ręce wasze kapłańskie.

Pogrzebiecie zwłoki moje, obok ukochanéj Kasi, grób już tam gotowy: proszę was panuleńku oto, bo niechcę smucić ani pułkownikowéj, ani Tadeuszka i Hanny. Bartosz przeczuwa wszystko, zasępiony chodzi, milczy, ale ja czytam z jego oczu i postawy. Wczoraj miałem sen.... a sen panuleńku taki, że dłuższego życia nadziei nie daje.

— *Sen mara, pan Bóg wiara*, mości stolniku, przerwał ksiądz Mateusz.

— Prawda to panuleńku, ale pan Bóg często we śnie daje widzenie przyszłości. Owoż wczoraj, pokazała się w bieli moja Kasia, powiedziała mi, że

za trzy dni będziemy razem. I ja w to wierzę panuleńku jak w ewangelię.

Ksiądz Mateusz nieodrzekł słowa: nazajutrz stawił się o naznaczonej godzinie: starzec się wyspowiadał, kommunikował i po tym obrzędzie orzeźwiał widocznie, Proboszcz na ustroniu długą miał naradę z rotmistrzem i Jaźdonowskim, a następnie z pułkownikową, Tadeuszem i Hanną.

Stolnik, w dniu w którym zgon swój zapowiedział wedle widzenia we śnie: ubrał się w ulubiony kontusz województwa swego, i po rannym śniadaniu, zasiadł pod lipą. Dzień był majowy cudny: niebo pogodne, żaden wiaterek nie zawiewał liściami lipy: woń balsamiczna napełniała powietrze; postanowiono zjeść obiad pod ulubionem cieniem stolnika. Starzec rozprawiał ochoczo, opowiadał dawne dykteryjki księdzu Mateuszowi: wypił dwie czarki miodu za zdrowie pułkownikowéj, młodych małżonków i małego Januszka, jak zwał praprawnucze: podano mu fajkę, którą z upodobaniem wypalił, i po obiedzie, skłoniwszy głowę na poręcz krzesła, w którym zwykle drzymał, zasnął.

Kiedy obecni na palcach cicho wyszli, aby snu starcowi nie przerywać, pozostał tylko proboszcz,

którego za rękę ciągle Stolnik trzymał, i Jażdonowski, który dał znak stojącemu na uboczy *kobziarzowi* Piotrkowi z *Wilczego dołu* aby się zbliżył.

Ksiądz Mateusz z przestrachem uczuł, że lodowacieje ręka starca i wskazał na blednące trupie jego oblicze. Jażdonowski, który śledził wszystko bystrym wzrokiem, szepnął Piotrkowi na ucho, a kobziarz zabrzmiał ulubionego marsza stolnika. Starzec, jakby z głębokiego snu rozbudzony, otworzył oczy, podniósł głowę, spojrzał z podziwieniem w około jakby rozpatrywał się gdzie jest, i po chwili blady rumieniec wystąpił na pargaminowe oblicze, ręce przestały drżeć, jakieś nowe życie wstąpiło w niego, i ciepło duszne rozgrzało ciało. Z początku głową takt marsza mierzył, następnie zaczął klaskać radośnie w dłonie: powstał krzepko, wyniósł prawą rękę w górę, a krzyknąwszy gromkim głosem:

„Niechaj błyśnie szabla stara,
Dalej naprzód nasza wiara."

Zaczął się śmiać serdecznie, i płakać rzewnie zarazem, aż upadł w krzesło. Ucichł kobziarz, zerwał się i przyskoczył Jażdonowski: Ksiądz Ma-

teusz, wlepił oczy w bledniejące oblicze starca, porwał jego rękę, która mu w dłoni stygła, i zaczął całować ze łzami.

— Już skończył, świątobliwy pan! Bóg mu błogosławił, dał mu widzieć o ostatniéj godzinie życia i dał mu śmierć lekką!

Wspaniały pogrzeb odbył się w kilka dni późniéj, całe sąsiedztwo z dalekich okolic zjechało się by oddać cześć zmarłemu. Domownicy, kurpie, i obywatelstwo, przenieśli na ramionach trumnę z dworu Zagajborskiego przeszło milę do parafialnego kościoła, i złożyli obok popiołów ukochanéj żony. Otworzono testament: cały majątek jakim rozporządzał stolnik, zapisywał synowi swemu rotmistrzowi, który aktem notaryalnym przelewał go na Hannę, zastrzegając sobie utrzymanie wygodne do śmierci.

Niedługo opuścił on dwór Zagajborski, i przeniósł się na stałe mieszkanie do Warszawy, gdzie zamieszkał w domku pułkownikowéj w alejach, opatrzony we wszelkie wygody, pod czujną opieką

krewniaczki pani Andrzejowéj. Tu w smutku swoim znalazł pociechę w gronie choć szczupłym dawnych towarzyszów broni z wyprawy do Sandomingo. Przeżył lat kilka, coraz zapadając na zdrowiu, i w piątą rocznicę śmierci ojca umarł.

XVI.

Puszcza okolająca dwór Zagajborski uległa w ciągu lat dziesięciu niesłychanéj zmianie. Siekiera przemysłowców zaczęła ją w pień wycinać. Tadeusz z boleścią patrzył na marnotrawstwo tego bogactwa krajowego, na które wieki się składały. Zachował wprawdzie część jéj, co było jego dziedzictwem, ale był to raczéj gaj kilkunastu włókowy. W miejsce starodrzewów powalonych, i w pień wyciętéj młodzieży lesnéj, pozostały tylko

błota, wyżary wydmy piaszczyste i kawały, plennéj gleby. Tysiące barci pszczół dzikich zniszczono, przy obalaniu siekierą sosen odwiecznych, w których się gnieździły i chowały. Dwór Zagajborski, ukryty dotąd w ciemnéj puszczy, stał się widny dalekiéj okolicy, jakby smutny świadek strasznego pustkowia.

Dwunasty rok właśnie ubiegał od śmierci stolnika, gdy czarne nadpłynęły chmury, jakby wróżbity straszliwéj burzy. Cisza złowroga, i upał duszący, pomimo że słońce zakryły bałwaniące się chmury, przejmowały dreszczem każdego. Bydło i konie wiedzione instynktem, uciekało z pastwiska z ponurem rykiem i rżeniem. W pół godziny, zaświstał przeraźliwie wicher, lunęła ulewa, grzmot jakby stu dział zagrzmiał i wstrząsnął ziemią, a za nim zaczęły bić pioruny przy głuchym szumie powietrza.

Hanna z pułkownikową i synem w kapliczce klęcząc, gorące zasyłała modły; nagle straszna błyskawica je oślepiła, a po niéj trzask jak łamanych i druzgotanych belek dachu. Bezprzytomne upadły na ziemię. Piorun uderzył w ulubioną lipę stolnika i wyorał ognistym lemieszem głęboką

bruzdę, a równocześnie trąba powietrzna, zerwała dach z dworu, i skruszywszy go, rzuciła za fossy okalające. Tadeusz z domownikami zajęty gaszeniem pożaru, zapalonego drugim piorunem młyna wodnego, nie widział ruiny dworu. Gdy mu dano znać o tym, wbiegł co rychléj do kaplicy, i ledwie dotrzeźwił się omdlałą żonę i matkę. Janek tylko mały nie stracił przytomności umysłu, naznosił wódek pachnących i zlewał niemi głowy matki i babki, nacierał skronie, oglądając się niespokojnie czy kto mu na ratunek nieprzybędzie.

Po pięciu godzinach ucichł przecie straszliwy huragan. Przez zerwanie dachu, nadwyrężone były sufity. Część tylko gdzie sypialnia stolnika, komnata niebieska i kaplica, mogły być zamieszkane. Nazajutrz przeto, wysłał do Warszawy matkę z żoną i synem, którzy pomieścili się w dawnym dworku pułkownikowéj: sam dawszy rozporządzenie co do naprawy zniszczonego dworu, i zdawszy gospodarstwo w ręce wierne Jażdonowskiego i pani Maciejowéj, pospieszył do stolicy.

Z niewymowną radością ujrzał w swoim dawnym kawalerskim pokoiku, złożoną wielką księgę *Silva-rerum*, którą zabrał z sobą stary rotmistrz,

i zostawił na ręce pani Andrzejowéj, aby złożyła Tadeuszowi.

Roztworzył księgę i trafił właśnie na pismo ostatnie rotmistrza, które skreślił już drżącą ręką na dni kilka przed śmiercią. Oto były jego słowa:

»Czuję zbliżającą się ostatnią godzinę życia. »jeżeli ś. p. rodzicowi mojemu Bóg przez duszę »wybraną, dał wiedzieć o chwili śmierci, i mnie »udzielił świętéj swojéj łaski. Wczoraj we śnie »widziałem na kwiecistéj łące moją Helusię i Elżbie»tę, obie przybrane w bieli, jak wołały na mnie. »A gdym chciał, strumień nas dzielący przebyć, piérw»sza zawołała wdzięcznym głosem: za dni siedm »będziemy tu razem. W sobotę więc, ostatnia dla »mnie uderzy godzina! Niech się dzieje wola Bo»ska! Życie teraz dla mnie ciężarem: wszystko »co kochałem, co splotło się z niém nierozerwa»nymi węzłemi, spoczywa już w grobie. Z dawnych »towarzyszów broni z Włoch, Hiszpanii i San-Do»mingo, kilku wprawdzie żyje, schodzimy się »w Saskim ogrodzie, odżywiamy się wspomnienia»mi lat młodych, ale z trwogą codzienną patrzy»my na siebie, liczemy swój zastęp, bo niemasz »miesiąca, ażeby nie ubył jeden, powołany na *apel*

»niebieski! Od dni piętnastu, już wyjść nie mo»gę, nie widziałem się z niemi. Straszna to sa»motność dla starca co żył tak gwarnie, co prze»żył tyle na świecie!

»Ród nasz i imię ginie ze mną: majątek prze»chodzi do kądzieli: ale przechodzi w dobre ręce. »Do ciebie więc kochany Tadeuszu, piszę teraz.....

»Oddaliśmy ci z chęcią naszego szczepu ostat»nią gałązkę, kruche to i wątłe, trzeba żebyś »Hannę zawsze kochał, i czuwał miłością ojca, »męża i brata. Niema już nikogo na téj ziemi, »ty więc jéj bądź wszystkiém.....

.....

»Bądź zdrów, błogosławię tobie, Hannie i ma»łemu Jankowi waszemu. Gdy te słowa czytać »będziesz, już ciało moje w proch się rozsypie, a »dusza nieśmiertelna, uleci z pragnieniem o nagro»dę do Tego, co potrafi nagrodzić za trudy życia, »za cierpienia, i boleści ziemskie."

Poniżéj była data: *piątek* w wieczór, i dopisek niewyraźnym pismem, drżącą silnie ręką,

«Niewiele godzin życia.... Rano płakałem jak »dziecię, niemogłem się długo utulić. Ale to w ro-

»dzie naszym, że gdy ból lub radość wstrząśnie »sercem, płaczemy jak bobry, lecz za to, na ból »ciała, ani w gorącym boju łzy nieznane, i hart »duszy by ze stali ukutéj. Jakiś chłód grobowy »ziębi ciało, czuję oddech śmierci! Boże zlituj się »nademną, niech się święta wola Twoja stanie."

Tadeusz ucałował ostatnie pismo starca, i długo zasnąć nie mógł od głębokiego wzruszenia. Na cmentarzu Powązkowskim wzniósł pamięci rotmistrza, piękny nagrobek, i w parę tygodni, sam wyjechał do puszczy, zobaczyć jak prędko sprowadzić będzie mógł rodzinę na powrót.

Jażdonowski, choć mało mówny ale czynny, ukończył potrzebne naprawy: zniknęły ślady zniszczenia. Przybyła więc pułkownikowa z Hanną i wnukiem, i zasiedli na powrót spokojnie przy domowém ognisku.

Pierwsze dnie grubej jesieni, odznaczały się szczególnie piękną pogodą, w Listopadzie mały śnieg upadł, w ostatnich dniach tego miesiąca, mieszkańcy Zagajborskiego dworu, z trwogą poglądali na niebo. Ognista miotła, jakby krwią zla-

na, zajaśniała na niebie, i przez dni kilka, wróżyła jakieś wielkie nieszczęście. . . . . .

. . . . . .

Przebywszy wiele ciężkich kolei, wiele nieszczęsnych okoliczności, Tadeusz zaniemogłszy srodze, nie wielką już o sobie otoczającym go, czynił otuchę, a w końcu Sierpnia, stan zdrowia jego pogorszał się coraz. Zażądał księdza, wyspowiadał się pobożnie, kommunikował, i odebrał ostatnie olejem świętym namaszczenie. Nazajutrz kazał przynieść *Silva-rerum*, odczytał sam kilka ustępów, długo się w księgę wpatrywał, i osłabioną ręką dopisał pod ostatnim pismem rotmistrza, te słowa:

„Byłem wierny twéj nauce! niesplamiłem świętéj pamięci ani waszego rodu, ani mego ojca. Kochałem i szanowałem drogą mi Hannę, i umieram pełen dla niéj czci i miłości, spełniwszy obowiązki przekazane mi krwią i przykładem waszym błogosławieni ojcowie! Moja najdroższa matko! stróżu aniele moich lat młodocianych, Hanno moja, i ciebie drogi Jasiu, dziecie moje żegnam was, błogosławię..... U tronu Boga będę błagał o wasz

spokój i szczęście Janku! zachowaj tę księgę przodków swoich, jeszcze w niéj wiele kart niezapisanych, obyś godnie mógł chociaż jednę zapełnić, aby to *Silva-rerum*, nie pozostało martwą tylko pamiątką po przodkach, jakby sprzęt jaki, lub hełm czy pancerz, którego nie mogąc dźwignąć, zawieszamy na ścianie. Niech ta spuścizna, będzie ciągłą towarzyszką dni życia twego, zaczerpuj w młode serce ztąd hartu, wzbogacaj wspomnieniami przeszłości pamięć dziecinną, pomnąc na te piękne słowa naszego poety:

„Młodość taką jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć przeminie sama szparko,
Cios jéj dłuta wiecznotrwały."

Czuję słabnące siły, lodowata dłoń śmierci, już dotknęła czoła i piersi,
Żegnam was ukochani moi,

Tadeusz.

Równo ze świtem skonał.

Nieszczęśliwa matka i wdowa w modlitwie tylko szukały pociechy i ulgi na niezgojone rany serca.

Koniec tomu 2go. i ostatniego.

PRZYPISY.

1. Pieśń, którą odspiewuje rotmistrz, jest tłumaczeniem spiewu Kreolów na wyspie Sandomingo. Przywiózł tę pieśń nasz Legionista Kazimierz Lux, historyk nieszczęśliwéj wyprawy na tę wyspę. Z rękopismu jego podajemy tu text oryginalny, wraz z wiernym przekładem jaki sam Lux pozostawił.

Chanson Créole.

Lisette quitté la plaine,
Mo perdi bonheur a moué,
Zieu à moué semblé fontaine
Dampi mo pas mire toue.
La jour quand mo coupé canne
Mo songé Z'amour à moué,
La nuit quand mo dans Cabane
Dans dromï mo quimbé toué.

Si to alle dans la ville,
Ta trouvé jeine candio,
Qui gagné pour tromper fille,
Bouche dore passé sirop,
To va crer yo ben sincére;
Pendent quior yo coquin trop,
C'est serpent qui contrefaire,
Crié rat pour tromper yo.

Dipi mo perdi Lisette,
Mo pas souchie calinda,
Mo quitté bram-bram sonette,
Mo pas batte bambula.
Quand mo contré l'aut negrèsse
Mo pas gagné z'yeu pour ly,

Tłómaczenie Kazimierza Luxa dosłówne.

Elżbieto! ty uchodzisz z równin,
I moje szczęście uszło razem:
Mój płacz, jak podwójna krynica,
Skrapiał wszystkie twoje kroki.
W dzień wycinając trzcinę cukrową,
Marzyłem o twoich słodkich wdziękach,
We śnie w mojéj chacie,
Noc oddawała się mojéj władzy.

Ty znajdziesz w mieście
Więcéj jak jednego trzpiota;
Ich usta sztuką wyszukaną,
Jak miód słodkie ale pełne przygotowania:
Ty uwierzysz że są czułemi,
Lecz ich serca ubiegają się za oszukaniem.
Wszak i wąż potrafi naśladować
Kiedy chce szczura ułowić.

Moje kroki odległe od mojéj Elżbiety,
Oddalają mnie od pieszczot,
A mój pas z dzwonkami,
Obumiera na bębenku.
Moje oczy na wszystkich pięknościach
Nie napotykają żadnego uśmiechu,

Mo pas souchié travail pièce
Tou qui chose à moué mouri.

Mo maigre tant com nion souche,
Iambe à moué tant com roseau
Mangé n'a pas dou dan bouche
Tafia l'y tant comme d'yo.
Quand moué songé toué Lisette,
D'iau toujours dans Z'yeu a moué,
Maguier moue vini trop bête.
A force chagrin mangè moï.

Lisette mo tandé nouvélle
To comté bentôt tourné,
A ini done toujours fidélle
Mire bon passé tandé,
N'a pas tardé davantage,
To faïr moué assez chagrin,
Moué tant com zozo dans Cage,
Quand yo fair ly mourir faim.

A praca, naprożno mnie woła:
Moje zmysły są zniszczone.

Tak niknę jako pień drzewa,
Noga moja niewięcéj jak trzcina:
Każdy pokarm w ustach moich jest nierzyjemny,
Każdy likwor zdaje się zamieniać w wodę.
Jak myślę o tobie Elżbieto,
Moje oczy zalewają się łzami,
Mój rozum powolnie roztargniony,
Ustępuje wszystkim moim cierpieniom.

Ale czy to jest prawdą moja kochanko,
Że niebawnie masz powrócić,
Ach! przybywaj zawsze stałą,
Wierzyć jest mniéj przyjemniéj jak czuć.
Nieopaźniaj się więcéj,
Bo to dla mnie jest wielkiem udręczeniem:
Przybywaj wydobyć mnie z więzienia,
Wszak i ptak ginie z głodu!

---

2. Długi wiek czerstwy, starość stuletnia z całą przytomnością umysłu i pamięcią, był przymiotem zwyczajnym przodków naszych. Sam znałem takich co dożywszy lat sto z górą, z młodzieńczą pamięcią opowiadali

zdarzenia z lat swych dziecinnych jeszcze. Ostatni taki sędziwiec, czcigodny Paschalski, właściciel ziemski i obywatel, zmarł już w naszych czasach. Do lat 98 jezdził konno i polował. Dziś to jest osobliwością w skarłowaciałém pokoleniu.

15,-

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
98545

NIEK

wydane nakładem Ksi

Biblioteka WSP Kielce
0160996

Caprea i Roma. Obrazy z pi
skiego. 4-ry Tomy we 2-ch
Duch i Krew. Kilka zarysów
Pługa. 3 Tomy. 12, 1859.
Dwie Koronacye Sasów, A
skich. Ze współczesnych rękc
objaśnieniami Władysław Syrokomla. in 12.
Historja Naturalna w celniejszych wiadomościach zebrana i do pojęcia młodzieży zastosowana. Z 8mią Tablicami kolorawanych rycin. in 16.
Pamiętniki z życia E. Felińskiéj. 3 tomy znacznéj objętości. in 12. Wilno 1856.
O obecnéj Polskiéj Terminologii, przez I. Filipowicza i Tomaszewicza W. 12 Wilno 1856.
OBRAZY LITEWSKIE przez *Ignacego Chodźkę:*
—Serja I. **Domek mojego Dziadka.—Ostatnia Sessja Exdywizji.—Samowar.—Powrót Dziedzica.—Poddany.** Wydanie 3cie poprawne i pomnożone, 2 tomy w jednym, 1854.
—Serja II. **Brzegi Wilji.** Wydanie nowe, poprawne 3 tomy w jednym, 1854.
—Serya III. **Pamiętniki Kwestarza.** Wydanie 2gie poprawne, 3 tomy w jednym, ozdobione portretem na stali, 1851.
—Serya IV. **Jubileusz.—Duch opiekunozy.—Autor Swatem.—Panna Respektowa.** Wydanie 2gie poprawne, 2 tomy w jednym, 1851.
—Serja V. **Dworki na Antokolu.** Wydanie Drugie, 2 tomy w Jednym. 1853.
W imie Boże!—Daléj w świat! Przez Gabryellę z G. P. Wydanie nowe, poprawne i pomnożone. 12.
Wędrowki po Królestwie Zwierzęcém, tłómaczone z niemieckiego; w malowniczych opowiadaniach, z kilkudziesięciu przepysznemi drzeworytami w texcie i osobno, czarnemi i kolorowanemi, na pięknym welinie. 2 Tomy in 8vo maj.
Studia Eleonory Ziemięckiéj. tom 1. 8-vo. 1860.
Kuoharka Litewska, zawierająca przepisy gruntowne i jasne, własném doświadczeniem sprawdzone, sporządzania smacznych, wykwintnych, tanich i prostych rozmaitych rodzajów potraw tak mięsnych jako i postnych, oraz ciast, legumin, lodów, kremów, galaret, konfitur i innych desserowych przysmaków, tudzież rozlicznych apteczkowych zapasów, konserw i rzadszych specyałów, z przydaniem na początku książki dokładnéj Dyspozycyi Stołu. Przez W. A. L. Z. in 8. 1860.